

MAGAZYN *razem z dodatkami*

To tylko
przyjaźń,
Panie
Sąsiedzie

Ul. 10-go Maja

- Mała uliczka - 232 m długości, 18 numerów, 47 mieszkańców. Co sprawiło, że żyją jak wielka rodzina?
- Grzybobranie - narodowy sport Polaków
- Niepełnosprawni jak turyści drugiej kategorii
- Teolog z UMK w czołówce cytowanych naukowców



Express BYDGOSKI

Piątek
10.10.2025

Nr 236 (11123)
Rok XXXVI

www.expressbydgoski.pl
Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)

EXPRESS INTERWENIUJE NIE DZIAŁAJĄ RUCHOME SCHODY I WINDY NA PERONY **STR. 4**

Dworzec pełen przeszkód



FOT. TOMASZ CZACHOROWSKI

Na głównym dworcu PKP w Bydgoszczy nie działają ruchome schody oraz dwie windy dowożące pasażerów na perony. Poważny problem mają seniorzy, rodzice z wózkami dziecięcymi oraz osoby z niepełnosprawnościami. Muszą korzystać ze zwykłych schodów, co dla wielu jest bardzo trudne. Przez kłopoty techniczne na bydgoskim dworcu, jeden z podróżnych musiał zmienić swoje plany, do Wrocławia jechał z dworca Bydgoszcz Wschód z przesiadką w Toruniu. Więcej na ten temat piszemy dziś na stronie 4



FOT. POLICJA

80-latek mógł stracić 45 tys. zł, ale jego oszczędności uratował taksówkarz str. 3

Kronika bydgoska.
Halo, Bydgoszcz!
Jedzie się! Albo i nie.
Raczej się stoi... **str. 2**

Nr ISSN 1230-9192

Nr indeksu 350680



Jubileusz 70-lecia V LO
w cieniu żałoby
po śmierci
dyrektora
szkoły **str. 6**

Nowy park handlowy powstanie
na terenie dawnego
bydgoskiego
„Zachemu”
str. 9

ZUS odrzuca co dziesiąty wniosek wdowców, ale
od marca limit renty
wdowiej zmieni się
na korzyść **str. 8**

Olimpia Grudziądz i Zawisza Bydgoszcz
będą bronić pozycji
lidera na trudnych
wyjazdach
str. 31

Polski urzędnik szpiegował dla rosyjskiego wywiadu? Jest akt oskarżenia wobec
Tomasza L. **str. 27**

TYDZIEŃ Z „EXPRESSEM”

SOBOTA ● Marcin Dorociński stroni od świata celebrytów	PONIEDZIAŁEK ● Sportowe wydarzenia, wyniki i tabele z weekendu	WTOREK ● Strefa biznesu - analizy i informacje gospodarcze	ŚRODA ● Wczesne objawy raka piersi nie bolą. Trzeba się badać	CZWARTEK ● Napad Piłsudskiego na carski pociąg pocztowy	PIĄTEK ● Pracownik MOPR wydłużył 2,8 mln zł zasiłków
--	--	--	---	---	--

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 52 511 94 64, bok.prenumerata@polskapress.pl, prenumerata.expressbydgoski.pl

Janusz Michalczyk

KTO SIĘ BOI TILLY NORWOOD?

Zbliża się moment przesilenia, będziemy musieli przejść przez „wieki ciemne”, bo przestajemy dostrzegać, co jest prawdą. Wbrew pozorom nie są to słowa jakiegoś jasnowidza zaprawionego w straszeniu publiczności, lecz opinia trzeźwego racjonalisty, zajmującego się fizyką kwantową prof. Jana Chwedeńczuka. Co nim tak wstrząsnęło? W audycji filozofa Tomasza Stawiszyńskiego (You Tube) profesor mówił o kilkuminutowym filmiku, którego bohaterką jest atrakcyjna aktorka... nieistniejąca.

Holenderska producentka i komiczka Eline Van der Velden stworzyła postać Tilly Norwood, która jest określana jako „pierwsza aktorka AI”, czyli wygenerowana przez sztuczną inteligencję. Na filmiku do złudzenia przypomina prawdziwą osobę i byłaby to tylko ciekawostka, gdyby nie zapewnienia Eline, że Tilly jest w stanie zagrać w reklamie lub pełnometrażowym filmie i nie będzie gorsza od aktorek. Holenderka zaproponowała już współpracę agentom ze świata filmu i telewizji, czym wywołała panikę w Hollywood.

U nas też mamy pierwsze takie próby. Realizatorzy serialu „Jak miłość” dzięki AI wygenerowali głos Witolda Pyrkosza i pokazali odmłodzonych Mostowiaków, co spotkało się z mieszanymi reakcjami widzów. Już rok temu wykreowana przez AI „dziennikarka” OFF Radia Kraków przeprowadziła wywiad „na żywo” z nieżyjącą od 2012 roku noblistką Wisławą Szymborską.

Oczywiście, refleksje Chwedeńczuka dotyczą poważniejszych zagadnień. Twierdzi on, że jeśli zaczniemy na masową skalę oglądać w internecie i telewizji nieprawdziwych ludzi, albo i prawdziwych, lecz w nieprawdziwych sytuacjach, nie mając przy tym żadnego sposobu weryfikacji, to nasz świat wywróci się do góry nogami. To, co bawi jako forma rozrywki, może przerażać zastosowane do manipulowania nastrojami i poglądami. Do czego dojdziemy, jeżeli utraci sens pojęcie prawdy, fundament naszej cywilizacji wymyślony przez starożytnych Greków?

Cóż, nie sądzę, żeby w sukurs przyszła nam inteligencja, rzeczywista lub sztuczna. Spodziewam się raczej triumfalnego powrotu i rozwinięcia idei przekonujących, że świat jest tylko ułudą lub snem wariata. A kiedy rozum okaże się bezradny, może schronieniem dla prawdy okazać się nasze uczucia?

POGODA W BYDGOSZCZY

Piątek

14°C
10°C



Wiatr
płn.-zach., 29 km/h
Ciśnienie
1021 hPa
Biomet
niekorzystny

Sobota

13°C
12°C



Niedziela

13°C
10°C



Imieniny dziś obchodzą Paulina, Daniela i Leon

KRONIKA BYDGOSKA

Halo, Bydgoszcz! Jedźcie się! Albo i nie. Raczej się stoi...

Ewa Czarnowska-Woźniak
ewa.czarnowska-wozniak@polskapress.pl

Ciężkie jesień i zima przed nami. Miasto jest przeorane remontami ulic, a nam nie służy jeszcze kilka innych „powikłań”.

Punkt widzenia zależy od miejsca siedzenia - powiada popularny slogan. Doświadczyli go na własnym siedzeniu kierowcy z północnych obrzeży Bydgoszczy, gdy w deszczową środę na forach internetowych wyrażali oburzenie, że trasa z przykładowego Osielska do centrum miasta trwała trzy albo i cztery kwadransy. Ano, już TYDZIEŃ TEMU opisywaliśmy uliczne pandemonium wywołane skutkami remontów na Fordońskiej i Kamiennej/Sułkowskiego, które jak domino rozsypały w miarę spokojny przejazd przez Bydgoszcz. Do tego spisu treści północny obwarunek mógł dokleić swoje emocje, gdy w porannym deszczu zdarzył się wypadek na skrzyżowaniu Armii Krajowej i Zamczyska. Mój katalog „doznań” też się tego dnia powiększył o wrażenia z podróży autobusem linii 57 z Błonia na Leśne. Przejazd w godzinach szczytu trwał... 1,5 godziny. Korek zmierzających ku Sułkowskiego zaczynał się już bowiem przy Focusie.



FOT. ARCHIWUM J. WOJASZKIEWICZ

Wąskie remontowe gardło miasta - skrzyżowanie ulic Kamiennej i Sułkowskiego

Szczęśliwi zatem nie tylko ci, którzy czasu nie liczą, ale i ci, których nic nie zmusza do poruszania się przez miasto na newralgicznych trasach i mogą pozostać w błogostanie niewiedzy, że takie sytuacje podnoszą innym w nieboskłon ciśnienie. A że te utrudnienia przewidziane są aż do przyszłego roku, a przed nami i gorączka Wszystkich Świętych (z cmentarzami położonymi przy remontowanych ulicach), i amok Bożego Narodzenia...

Nawet jednak, jeśli nie masz samochodu i nie jeździsz autobusami, chodzić musisz. I, być może, jesteś jedną z tych zjaw,

które pojawiają się z nienacką na przejściu przez ulicę w szybko zapadającym zmroku, czasem w deszczu, zawsze w ciemnej kurtce. Robisz efekt „czarne na czarnym”, bo nie wszystkie takie miejsca są doświetlone (a naszemu miastu trzeba jednak oddać sprawiedliwość, że się o to stara). Wtedy trzeba trochę szczęścia i dużo opanowania - Twojego i kierowcy - żeby nikt nie poniósł w tej „przygodzie” szwanku. Lata mijają, a to klasa jesienno-zimowych sytuacji na drogach. Bardzo mnie stresująca zresztą. Jak wynika z jednej z naszych publikacji, badania dowodzą, że paradoksalnie, bardziej bezpieczni piesi są nie na klasycznych zebrach, a na tzw. przejściach sugerowanych (nieoznakowanych, ale stwarzających techniczne możliwości przekraczania ulicy, torowiska czy ścieżki), bo wiedzą, że ich prawa są tam ograniczone i zachowują większą ostrożność. Pewnie, że zdarzają się przechodnie, którzy uważają, że wszędzie i wszystko im wolno,

ale i tak są oni - w mojej opinii - i tak rozsowniejsi od (niech mi wybaczą!) rowerzystów. Tak w 8/10 sytuacji z mojego doświadczenia, rowerzysta przejeżdża przez wyraźnie oznakowane przejście wyłącznie dla pieszych, nie rozumiejąc zasad ruchu drogowego. To samo dotyczy zresztą użytkowników hulajnóg. I tu, i tu prym wiodą, niestety, młodzi ludzie, co wskazuje na konieczność nieustannego edukowania na ten temat. Nierzadko przy tym emocjonalnie (i brzydko) reagują oni na pouczające gesty. (A i tak numerem jeden na mojej liście przedmiotowych reakcji jest wakacyjna historia z grupą cyklistów jadących ulicą Akademicką równolegle do... ścieżki rowerowej. Kiedy próbowałam im to uświadomić zza szyby, doczekałam się od peletonu panów w średnim wieku w gatkach z lycry zgodnej prezentacji środowego palca, co w sumie rozbawiło mnie bardziej niż absurd sytuacji.)

A zatem, ciężki czas przed nami. Obiektywnie i subiektywnie, bo przecież każdy z nas wie lepiej, jak zachowywałby się w tej (drogowej) sytuacji i ma setkę rozwiązań na poprawienie ulicznego węzła gordyjskiego, ale tymczasem musimy brać, co jest. Dbajmy o siebie, byle do wiosny...©®

Przejazd autobusem linii 57 w godzinach szczytu z Błonia na Leśne trwał... 1,5 godziny. Korek zaczynał się już przy Focusie.

W SOBOTĘ Z „EXPRESSEM”



FOT. SYLVIA DĄBROWA

Wojciech Pokora. Jego wybory nie spodobały się rodzinie, która chciała, aby został inżynierem, on jednak miał inny plan na swoją przyszłość. To wszystko sprawiło, że stał się „czarną owcą” w rodzinie, a je-

den z wujów nie podawał mu ręki. Karierę aktorską rozpoczął w Teatrze Dramatycznym w 1958 roku. Grał tam prawie ćwierć wieku. W latach 80. związał się z Teatrem Nowym, a potem z Teatrem Kwadrat. Ostatnie lata spędził w Och-Teatrze. Swoje teatralne doświadczenia wykorzystał również w kabarecie Olgi Lipińskiej

Ponadto:

● Chrapanie to nie tylko irytujący dźwięk. Kiedy zgłosić się do lekarza?

● System kaucyjny krok po kroku. To trzeba wiedzieć!



FOT. PRYW. ARCH. K. GORYN

Posłanka Iwona Hartwich z Torunia (KO), mama niepełnosprawnego Jakuba

”

Zapewnienie dostępu do plaży czy kąpieliska osobom z niepełnosprawnościami nie jest łaską. To obowiązek wobec obywateli.

Puls, 16

Taksówkarz uratował oszczędności seniora. 80-latek mógł stracić 45 tys. zł

Michał Sierek
michal.sierek@polskapress.pl

Wyjątkowa czujność i prawidłowa reakcja taksówkarza uratowały oszczędności 80-letniego mieszkańca Bydgoszczy. Taksówkarz, któremu zlecono przewiezienie przesyłki z Bydgoszczy do Gdańska zorientował się, że może chodzić o próbę wyłudzenia pieniędzy i poinformował o wszystkim policję. Ta zorganizowała zasadzkę na młodego mężczyznę, który miał odebrać paczkę. Ale po kolei...

Jak informuje Komenda Powiatowa Policji w Pruszczu Gdańskim, w piątek 3 października po godzinie 14 do funkcjonariuszy ruchu drogowego z Pruszcza, którzy pełnili służbę na autostradzie A1, podjechał mężczyzna kierujący taksówką.

Czujność taksówkarza

Wykonywał on kurs z Bydgoszczy do Gdańska, gdzie wedle zlecenia miał przewieźć paczkę z dokumentami.



Przesyłkę miał odebrać 19-latek. Wpadł w ręce policjantów

Taksówkarzowi jednak coś nie pasowało w całej historii. Jego czujność wzbudziło to, że w Bydgoszczy pakunek zawierający w rzeczywistości widoczną sporą kwotę pieniędzy przekazał mu starszy mężczyzna, który był wyraźnie podekserwowany.

Taksówkarz wszystko zrelacjonował policjantom, którzy natychmiast powiadomili dyżurnego jednostki. Policjanci wydziału kryminalnego, którzy zostali skierowani do tej sprawy,

zorganizowali szybką akcję. Mundurowi zabezpieczyli pieniądze seniora - prawie 45 tysięcy złotych i w ich miejsce przygotowali inną paczkę. Zatrzymali 19-latkę, który miał ją odebrać. Młody mężczyzna został przewieziony do komendy w Pruszczu Gdańskim, a następnie przekazany policjantom z Komendy Miejskiej Policji w Bydgoszczy.

Jak się okazało była to próba wyłudzenia pieniędzy „na pracownika banku”. Do 80-let-

niego mieszkańca Bydgoszczy zadzwoniła osoba, która przedstawiła się jako pracownik instytucji.

Pieniądze miały być bezpieczniejsze w Gdańsku

Rozmówca poinformował seniora, że jakoby jego oszczędności zgromadzone w banku są zagrożone i żeby je ochronić musi natychmiast wypłacić pieniądze. Następnie starszy mężczyzna miał je przekazać jako „paczkę z dokumentami”. Oszczędności starszego mężczyzny miały zostać przewiezione do Gdańska taksówką, gdzie miały być „bezpieczne”.

Jak informuje KPP w Pruszczu Gdańskim, zebrany materiał dowodowy pozwolił funkcjonariuszom z Komisariatu Policji Bydgoszcz-Fordon na przedstawienie mężczyźnie zarzutu usiłowania oszustwa. Sąd w Bydgoszczy zastosował wobec 19-latkę 3-miesięczny areszt. Oszustwo zagrożone jest karą do 8 lat pozbawienia wolności. (źródło: KPP w Pruszczu Gdańskim).

Agnieszka Siłacz została nowym dyrektorem „Wód Polskich” w Bydgoszczy

Iwona Góralczyk
iwona.goralczyk@polskapress.pl

Pani Agnieszka Siłacz od 24 lat jest związana z gospodarką wodną - informuje Edyta Nowacka, rzecznik prasowy Państwowego Gospodarstwa Wodnego Wody Polskie w Bydgoszczy.



Agnieszka Siłacz

Zarządzie Zlewni Noteci w Bydgoszczy, na stanowiskach insp. technicznego ds. hydrogeologii, a następnie specjalisty. Pełniła również funkcję kierownika Działu Zasobów Wodnych i Uzgodnień Administracyjnych. Pod koniec 2014 roku została jej powierzona stanowisko p.o. kierownika Zarządu Zlewni Noteci w Bydgoszczy, a od 1 kwietnia 2015 r. została jego kierownikiem. Piastowała to stanowisko do powstania Państwowego Gospodarstwa Wodnego Wody Polskie. Od stycznia 2018 roku Agnieszka Siłacz była zastępcą dyrektora RZGW w Bydgoszczy ds. Ochrony przed Powodzią i Suszą PGW Wody Polskie, a w międzyczasie trzykrotnie miała powierzoną funkcję p.o. dyrektora RZGW w Bydgoszczy. ©

Decyzją Mateusza Balcerowicza, prezesa Państwowego Gospodarstwa Wodnego Wody Polskie, na stanowisko dyrektora Regionalnego Zarządu Gospodarki Wodnej w Bydgoszczy została powołana Agnieszka Siłacz.

Nowa dyrektorka z wykształcenia jest geologiem. Ukończyła studia wyższe magisterskie na Wydziale Nauk Geograficznych i Geologicznych Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu w zakresie hydrogeologia i geologia inżynierska.

Od 2004 roku jest uprawnionym hydrogeologiem, posiadającym uprawnienia geologiczne w kat. V.

Od 2001 roku pracowała w Regionalnym Zarządzie Gospodarki Wodnej w Poznaniu,

MATERIAŁ INFORMACYJNY PGE POLSKA GRUPA ENERGETYCZNA S.A.

Dołącz do artystycznej przygody i zgłoś się do konkursu „Spotkania ze sztuką”

Fundacja PGE po raz czwarty zaprasza uczniów szkół podstawowych z miejscowości liczących do 50 tys. mieszkańców do udziału w ogólnopolskim konkursie plastycznym „Spotkania ze sztuką”. W tegorocznej edycji motywem przewodnim jest twórczość Vincenta van Gogha - artysty, którego dzieła przepełnione są emocjami, barwami i niezwykłą ekspresją.

Zadaniem uczestników będzie stworzenie własnej interpretacji wybranego obrazu mistrza, wykorzystując dowolną technikę plastyczną. Prace należy wykonać na papierze technicznym w formacie A2 i przesłać do 14 listopada 2025 roku. W konkursie wyodrębnione zostały trzy kategorie: dla klas I-III, IV-VI, VII-VIII, a najlepsze dzieła zostaną zaprezentowane w muzeach narodowych w całej Polsce. Na laureatów czekają atrakcyjne nagrody, wycieczki muzealne oraz możliwość udziału w inspirujących warsztatach.

W tej edycji konkursu lista instytucji biorących udział w projekcie została rozszerzona o dwa nowe



patronat honorowy



patronat medialny



muzea: Muzeum Narodowe w Szczecinie oraz Muzeum Narodowe we Wrocławiu. Tym samym uczestnicy będą mogli odwiedzić jedno z siedmiu prestiżowych muzeów: Muzeum Narodowe w Warszawie, Lublinie, Krakowie, Kielcach, Gdańsku, Szczecinie lub Wrocławiu.

Dodatkowo, każdy laureat otrzyma indywidualną nagrodę w postaci bonu o wartości 300 zł do wykorzystania w sklepie Empik, a opiekun laureata – bon o wartości 200 zł jako wyraz uznania za zaangażowanie i wsparcie artystycznych działań uczniów.

Organizatorzy przygotowali również specjalne zadanie filmowe – relację z wycieczki muzealnej, która zostanie opublikowana na profilu szkoły na Facebooku. Pięć najpopularniejszych filmów przejdzie do finału, a trzy najlepsze szkoły otrzymają nagrody finansowe o wartości 5 000 zł, 7 500 zł oraz 10 000 zł.

Poprzednia, trzecia edycja konkursu pokazała, jak ogromny potencjał drzemie w młodych artystach z całej Polski. Wśród 2683 nadesłanych prac znalazły się również te z województwa kujawsko-

-pomorskiego, które zachwyciły jury i zdobyły zasłużone wyróżnienia. W gronie laureatów znalazły się: Zespół Szkół im. Celestyna Kamińskiego w Dąbrowie Chełmińskiej, Szkoła Podstawowa nr 7 w Brodnicy, Szkoła Podstawowa im. Janusza Korczaka w Szabdzie, Szkoła Podstawowa im. Wojska Polskiego w Dąbrowie, którzy w ramach nagrody odwiedzili Muzeum Narodowe w Warszawie oraz Muzeum Narodowe w Gdańsku. Ich sukces pokazuje, że nawet najmniejsze szkoły mogą sięgnąć po wielkie nagrody, jeśli tylko zdecydują się wziąć udział.

Organizatorzy zachęcają wszystkie szkoły podstawowe z województwa kujawsko-pomorskiego – z miejscowości poniżej 50 tys. mieszkańców – do udziału w IV edycji konkursu „Spotkania ze sztuką”. To okazja do rozwijania kreatywności i wyobraźni uczniów, ale także szansa na zaprezentowanie talentu szerszej publiczności.

Sztuka jest blisko, wystarczy po nią sięgnąć. Może to właśnie Wasza szkoła znajdzie się w gronie tegorocznych zwycięzców?

Bydgoszcz

Szef kuchni Marcin Szukaj spotkał się z dziećmi z oddziału onkologii szpitala Jurasza

Małgorzata Pieczyńska
malgorzata.pieczynska@polskapress.pl

To było bardzo smaczne i sympatyczne spotkanie, które wywołało uśmiech na buziach małych pacjentów. Dzieci odwiedził bowiem wyjątkowy gość - bydgoski szef kuchni Marcin Szukaj.

Na to niecodzienne spotkanie zaprosili wspólnie Marcin Szukaj i Fundacja Na Ratunek Dzieciom z Chorobą Nowotworową. Odbędzie się ono w ramach ogólnopolskiej Kampanii Złotej Wstążki, która zwraca szczególną uwagę na diagnozowanie różnych zwiastunów choroby u dzieci.

Celem inicjatywy jest uświadomienie, że wykrycie nowotworu we wczesnym stadium znacznie zwiększa szansę skutecznego leczenia - stąd dewiza akcji: „Lepiej zbadać

dziecko o dziesięć razy za dużo, niż o raz za mało”.

W czasie spotkania szef kuchni Marcin Szukaj specjalnie dla małych pacjentów przygotował deser Panna Cotta z sosami owocowymi oraz z różnymi owocami, które także wybierały dzieci.

Ponadto opowiedział również małym pacjentom o zawodzie kucharza i o swojej drodze do kulinarnej kariery. Uchylił też rąbka tajemnicy i zdradził kilka tajemnic zawodu kucharza oraz rozmawiał z dziećmi o swoich ulubionych potrawach, np. o kaczce z jabłkami.

Wizyta szefa kuchni wpłynęła na dzieci w doskonały sposób i była świetną odskocznią od szpitalnej codzienności. Uczestnicy tego spotkania nie tylko z apetytem zjedli deser przygotowany przez szefa kuchni, ale także chętnie zadawali mu pytania. ©



Szef kuchni Marcin Szukaj nie tylko przygotował deser dla dzieci, ale także opowiedział o zawodzie kucharza

KRÓTKO

INWESTYCJE

Nowa Gniewkowska jako pieszojezdnia

Trwa utwardzanie bydgoskich ulic gruntowych. Jak poinformował na swojej stronie internetowej Urząd Miasta Bydgoszczy, nową nawierzchnię zyskuje ulica Gniewkowska na Glinkach. Warta ponad 1,6 mln zł inwestycja zakłada przebudowę całego, liczącego około 600 metrów odcinka Gniewkowskiej. W zakres robót wchodzi wykonanie nawierzchni ulicy wraz z chodnikami po obu stronach, zjazdami, miejscami postojowymi

i dojazdami do posesji. Rozpoczął się już pierwszy etap tej inwestycji na odcinku od strony ul. Glinki. Ulicę Gniewkowską zaprojektowano jako pieszojezdnię. Część dedykowana pieszym zostanie wykonana z betonowej kostki, natomiast jezdnie z materiałów chłonnych. Takie rozwiązanie pozwala na odprowadzanie wody opadowej bezpośrednio do gruntu. Planowo prace powinny skończyć się jeszcze w tym roku. W tym roku w budżecie miasta na program utwardzania ulic gruntowych zabezpieczono 32 mln zł. PK

Na dworcu Bydgoszcz Główna windy nie działają, schody ruchome też!

Maciej Czerniak
maciej.czerniak@polskapress.pl

Na głównym dworcu PKP w Bydgoszczy osoby z niepełnosprawnościami, starsze i schorowane, mają problem. Dwie windy dowożące pasażerów na perony nie działają. Jeden z podróżnych musiał zmienić plany, do Wrocławia jechał z przesiadką.

Na dworcu Bydgoszcz Główna pasażerów pełno, jak każdego innego dnia. Już po przekroczeniu drzwi wejściowych do głównej dworcowej hali osoby, które mają problemy z poruszaniem się, napotykają pierwszą przeszkodę: nie działają schody ruchome.

- Poruszam się na wózku. Miałem jechać do Wrocławia - mówi Sebastian Pietrzak, mieszkaniec Bydgoszczy. - Kupiłem bilet, jeszcze 2 października upewniałem się też zapewniano mnie telefonicznie, że nie będę miał problemu, by dotrzeć na peron i wsiąść do pociągu. Tymczasem w niedzielę 5 października, na dwa dni przed moim planowanym wyjazdem dostałem SMS-a od przewoźnika, że muszę zmienić trasę, wyjechać z innej stacji. Powód? Windy dowożące na perony nie działają.

Pasażer dodaje, że pytał o możliwość czasowej zmiany peronu, ale powiedziano mu, iż to nie jest możliwe i musi odbyć podróż z innej stacji. Tak też zrobił, wyjechał ze sta-

cji Bydgoszcz Wschód. Pojechał przez Toruń i z przesiadką.

- Teraz jestem już we Wrocławiu i znów czeka mnie podróż z przesiadką przez pół polski. Pojadę przez Poznań i Toruń, tylko dlatego, że na stacji w Bydgoszczy nie działają windy - mówi.

Z pytaniem o to, czym spowodowane jest wyłączenie z użytkowania wind, zwróciliśmy się do PKP S.A., zarządzającego dworcami kolejowymi. Czekamy na odpowiedź na maila w tej sprawie.

Jak się okazuje, wyłączenie wind z użytkowania dotyczy dwóch dźwigów, tych dowożących pasażerów na perony pierwszy i piąty. Na drzwiach wejściowych znajduje się informacja, że urządzenia są nieczynne „w związku z remontem”.

- Poinformowano mnie dzisiaj, to jest 9 października, że remont wind rozpocznie się w piątek - dodaje pan Sebastian.

Tymczasem w informacji na temat dworca Bydgoszcz Główna na stronie internetowej PKP znajduje się odnośnik

Pasażer: Czekam na podróż przez pół Polski. Pojadę przez Poznań i Toruń, tylko dlatego, że na stacji w Bydgoszczy nie działają windy



Na dworcu PKP Bydgoszcz Główna dwie windy dowożące pasażerów na perony nie działają

do zakładki „Bez barier”. Przeczytać tam można między innymi zapewnienie: „PKP S.A. dąży do tego, aby czas spędzony na dworcu i zaplanowana podróż przebiegała w sposób komfortowy i przyjazny dla wszystkich pasażerów, z uwzględnieniem potrzeb osób o ograniczonej mobilności, którym poruszanie się w przestrzeni miejskiej sprawia trudność”.

Dalej czytamy: „Zgodnie z europejskimi normami, osobami o ograniczonej mobilności są nie tylko osoby korzystające z wózków inwalidzkich ale

także osoby starsze, czasowo lub stale poruszające się o kulach, kobiety w ciąży, osoby z dysfunkcją narządu wzroku lub słuchu, a także rodzice z małymi dziećmi”. Wśród informacji dla osób z ograniczoną mobilnością, znajdziemy z kolei takie zapewnienie: „Do toalet dla niepełnosprawnych w hali głównej dworca można zjechać windą nr 1 znajdującą się po lewej stronie przy wejściu do dworca, wybierając poziom (-1). Natomiast do toalety w holi przy peronie 3 i 4 można wjechać windą nr 4, wybierając poziom (0)”.

W Fordonie otwarto Centrum Wolontariatu

Marcin Kozłowski
marcin.kozlowski@polskapress.pl

Dzięki wspólnym działaniom miasta i Ikei Bydgoszcz, przy ulicy Gawędy 5 w Fordonie otwarto Centrum Wolontariatu.

- Bardzo się cieszę, że powstało właśnie w Fordonie. Mam nadzieję, że centrum będzie tętniło życiem, że każdy znajdzie tu dla siebie miejsce. Liczę na wiele ciekawych inicjatyw i młodych ludzi, i tych dorosłych - powiedziała podczas otwarcia Iwona Waszkiewicz, zastępczyni prezydenta Bydgoszczy.

Uroczystość odbyła się 8 października, a więc dokładnie w 7. urodziny rozpoczęcia działalności Bydgoskiego Centrum Organizacji Pozarządowych i Wolontariatu przy ul. Gdańskiej 5. Przez ten czas podpisano tam ponad 530 umów z organizacjami pozarządowymi i odbyło



Przy ulicy Gawędy 5 w Fordonie otwarto Centrum Wolontariatu. To drugie takie miejsce w Bydgoszczy

się ponad 8 tysięcy imprez - spotkań, warsztatów, zajęć artystycznych i integracyjnych. Niektóre wydarzenia na stałe wpięły się w kalendarz miasta - to m.in. Piknik Bydgoskich Organizacji Pozarządowych, Dzień Rodziny, Dzień Kobiet, Światowy Dzień Organizacji Pozarządowych, Maj Mam, czy konkurs „Bydgoski Wolontariusz Roku”.

Podobnym miejscem ma stać się otwarte właśnie Centrum Wolontariatu przy ul. Gawędy 5. Powstało z myślą o ludziach, którzy swoją energią i zaangażowaniem zmieniają świat wokół siebie. Tu będą odbywać się spotkania, szkolenia i warsztaty dla wolontariuszy - osób, bez których wiele ważnych inicjatyw społecznych nie

mogłoby zaistnieć. Chcemy, aby Gawędy 5 było przestrzenią przyjazną, inspirującą i tętniącą życiem. Przestrzenią, w której każdy - niezależnie od wieku, doświadczenia czy poglądów - znajdzie swoje miejsce i poczuje, że może realnie wpływać na rzeczywistość - mówi Dorota Głaza, dyrektorka Biura Aktywności Społecznej.

Oprócz działań wolontariackich fordońskie centrum będzie oferować warsztaty i zajęcia dostosowane do zainteresowań młodych ludzi - m.in. warsztaty muzyczne, zajęcia kreatywne, mentoring i szkolenia. Uczestnicy będą mogli angażować się w organizację wydarzeń, pomagać seniorom, działać na rzecz zwierząt i rozwijać talenty artystyczne. Dzięki współpracy z organizacjami, szkołami i instytucjami młodzież otrzyma wsparcie i motywację do aktywności społecznej. ©

MATERIAŁ INFORMACYJNY WODY POLSKIE

0011380135

Chroń się przed powodzią - skorzystaj z wykupów nieruchomości!

Powodzie stają się coraz poważniejszym zagrożeniem, szczególnie dla mieszkańców terenów położonych w sąsiedztwie rzek. W odpowiedzi na rosnące ryzyko, Skarb Państwa oferuje możliwość wykupu nieruchomości o wysokim zagrożeniu powodziowym (w zasięgu wody 10-letniej). To szansa na zwiększenie bezpieczeństwa i uniknięcie przyszłych strat materialnych.

Powodzie to dziś jedno z najważniejszych zagrożeń naturalnych, z jakimi mierzy się Polska. Zmiany klimatyczne, coraz intensywniejsze opady oraz urbanizacja terenów położonych w sąsiedztwie rzek sprawiają, że ryzyko wystąpienia katastrofy rośnie z roku na rok. Dlatego świadoma ocena zagrożenia i ryzyka powodziowego jest kluczowa dla skutecznej ochrony ludzi, mienia i środowiska. Tragiczne skutki przyniosła powódź z września 2024 r., która dotknęła południowo-zachodnią część kraju. W ciągu 22 dni żywioł zniszczył tysiące domów, dróg i obiektów publicznych, a straty materialne przekroczyły 13 mld zł. Poszkodowanych zostało prawie 250 tys. osób, a fala powodziowa zalała ponad 10 tys. budynków mieszkalnych oraz ponad 800 obiektów o szczególnym znaczeniu społecznym, takim jak szkoły, urzędy czy szpitale. Pod wodą znalazło się też 29 tys. hektarów upraw rolnych. Skala zniszczeń pokazała, że konieczne są nowe rozwiązania – w tym możliwość wykupu nieruchomości przez Skarb Państwa dla mieszkańców terenów szczególnie zagrożonych przez powódź.

Zasady wykupu nieruchomości na terenach zagrożonych powodzią

Wykup nieruchomości może nastąpić w dwóch przypadkach. Pierwszym z nich jest potrzeba zapewnienia swobodnego przepływu wód powodziowych. W takiej sytuacji wykup jest możliwy, jeśli położenie nieruchomości względem rzeki oraz ukształtowanie terenu wskazują, że obszar powinien być przeznaczony na cele przeciwpowodziowe. Dodatkowo, istniejąca zabudowa nie może mieć dużej wartości historycznej, artystycznej ani kulturowej, a jej usunięcie nie powinno powodować istotnych strat. Korzyści wynikające z wykupu muszą prze-



Program wykupów nieruchomości przez Wody Polskie

Wody Polskie mogą, za zgodą właściciela, wykupić nieruchomość położoną na obszarze szczególnego zagrożenia powodzią, gdzie prawdopodobieństwo wystąpienia powodzi jest wysokie i wynosi co najmniej 10 procent. Nieruchomość jest nabywana na rzecz Skarbu Państwa, a celem takiego działania jest zapewnienie skutecznej ochrony przeciwpowodziowej. Procedura planowania wykupów obejmuje wystąpienia Wód Polskich do gmin, na terenie których miały miejsce powodzie, z prośbą o opinię dotyczącą nieruchomości, których wykup należy rozważyć jako zasadny. Do 30 czerwca każdego roku Wody Polskie przekazują ministrowi właściwemu do spraw gospodarki wodnej zapotrzebowanie na środki finansowe na wykupy planowane w kolejnym roku. Zapotrzebowanie to uwzględnia stopień zniszczenia obiektów oraz ich wpływ na ochronę przeciwpowodziową, na przykład to, czy utrudniają przepływ wód powodziowych. Minister przekazuje zapotrzebowanie dalej - do ministra właściwego do spraw finansów, celem zabezpieczenia środków finansowych na cel przyszłych wykupów. Na realizację wykupów nieruchomości przeznaczono 800 mln złotych do 2034 r. Środki pochodzą z budżetu państwa. Głównym celem programu jest zapewnienie ochrony ludności i mienia przed powodzią poprzez umożliwienie mieszkańcom budynków zniszczonych lub uszkodzonych w wyniku powodzi zmiany miejsca zamieszkania.

wyższać koszty finansowe i społeczne. Drugim przypadkiem jest potrzeba ochrony ludności i mienia. Wykup może nastąpić, jeśli budynek został zniszczony lub uszkodzony przez powódź, a jego odbudowa lub remont są niecelowe ze względu na ryzyko ponownego zniszczenia. Decyzja o wykupie uwzględnia położenie budynku, jego stan

techniczny, otoczenie oraz liczbę mieszkańców, co może wskazywać na zasadność umożliwienia zmiany miejsca zamieszkania. W przypadku zniszczenia budynków przez powódź wykupowi mogą podlegać nieruchomości gruntowe, a także budynkowe zabudowane na cele mieszkalne oraz inne

niż mieszkalne. Do takich nieruchomości należą m.in. działki z budynkami mieszkalnymi, zgodnie z Polską Klasyfikacją Obiektów Budowlanych, z wyłączeniem budynków zamieszkania zbiorowego, a także lokale mieszkalne stanowiące odrębną własność w tych budynkach. Dodatkowo, wykup może objąć inne nieruchomości – na przykład z budyn-

kami o innym przeznaczeniu lub niezabudowane – jeśli ich pozyskanie jest konieczne dla zapewnienia bezpieczeństwa powodziowego, zwłaszcza gdy sąsiadują z już wykupionymi budynkami mieszkalnymi.

Jak ustalana jest cena wykupu?

Cena wykupu nieruchomości ustalana jest na podstawie wyceny rzeczoznawcy majątkowego. W przypadku ogólnym jest to wartość rynkowa nieruchomości powiększona o 20 procent. W przypadku legalnie wzniesionych zniszczonych budynków mieszkalnych uwzględnia się wartość gruntu, wartość budynków i lokali mieszkalnych według stanu z dnia poprzedzającego powódź, wartość pozostałych legalnych naniesień, takich jak garaże, również podlega wycenie, a całość oszacowanej kwoty również powiększa się o 20 procent.

Zakaz zabudowy na terenach wykupionych

Aby skutecznie chronić ludzi przed powodzią, na terenach wykupionych przez Wody Polskie obowiązują ograniczenia dotyczące zabudowy. Na tych obszarach nie wolno wznosić nowych budynków ani rozbudowywać czy odbudowywać istniejących. Zakazy te nie obowiązują w przypadku prac związanych z budową, utrzymaniem lub modernizacją wałów przeci-

powodziowych oraz innych obiektów służących ochronie przed powodzią. Jeżeli jednak zachodzi potrzeba poprowadzenia przez taki teren drogi, linii energetycznej lub innego elementu infrastruktury, Wody Polskie mogą wydać zgodę na odstępstwo od zakazu zabudowy. Warunkiem jest brak możliwości poprowadzenia tej infrastruktury w innym miejscu oraz zapewnienie odpowiedniego poziomu ochrony przeciwpowodziowej.

Bezpieczna przyszłość zaczyna się dziś - skorzystaj z możliwości wykupu

Dobrowolny wykup nieruchomości przez Wody Polskie to nie tylko szansa na poprawę bezpieczeństwa powodziowego, ale także realna pomoc dla mieszkańców, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji po zalaniu domów przez wody powodziowe. To rozwiązanie, które pozwala uniknąć kolejnych strat, daje możliwość rozpoczęcia życia w nowym, bezpiecznym miejscu i wspiera odbudowę lokalnych społeczności. Jeśli Twoja nieruchomość znajduje się na obszarze szczególnego zagrożenia powodzią, warto rozważyć udział w tym programie – to krok w stronę stabilności, bezpieczeństwa i lepszej przyszłości.

Sprawdź, czy mieszkasz na terenie zalewowym

Jeśli nie masz pewności, czy Twoje miejsce zamieszkania jest bezpieczne pod względem zagrożenia powodziowego, warto skorzystać z Hydroportalu. To narzędzie dostarcza kluczowych informacji, które wspierają podejmowanie trafnych decyzji w zakresie ochrony przed powodzią – zarówno przez osoby prywatne, jak i instytucje. Hydroportal zapewnia dostęp do map zagrożenia i map ryzyka powodziowego, opracowanych na podstawie modeli hydraulicznych oraz danych statystycznych. Mapy te przedstawiają obszary narażone na zalanie w wyniku wezbrań wód rzek, sztormów czy awarii budowli hydrotechnicznych. Uwzględniają różne scenariusze powodziowe, w tym te o prawdopodobieństwie wystąpienia średnio raz na 10, 100 lub 500 lat, a także zdarzenia ekstremalne.

Wejdź na Hydroportal
https://wody.isok.gov.pl/imap_kzgw



Światłownia zaprasza na XV Festiwal Widzących Duszą

Marta Mikołajska
marta.mikolajska@polskapress.pl

Jutro rozpocznie się Festiwal Widzących Duszą. Na scenie Otwartej Przestrzeni Światłowni w Bydgoszczy stanie 16 wokalistów. Najlepszych usłyszymy w niedzielę podczas koncertu laureatów.

Wydarzenie zainauguruje w sobotę, 11 października, o godzinie 16.00 występ tegorocznych uczestników. W części konkursowej 16 wykonawców zmierzy się z repertuarem Krzysztofa Krawczyka. Publiczność będzie miała okazję usłyszeć nieśmiertelne przeboje artysty, takie jak np. „Parostatek”, „Chciałem być”, „Ostatni raz zatańczysz ze mną”, „Życia mała garść”, „Było było tak” czy „Rysunek na szkle”.

O godzinie 19.00 widzowie wysłuchają recitalu Agaty Zakrzewskiej, laureatki XIV edycji Festiwalu Widzących Duszą, a także, między innymi, Festiwalu Twórczości Wojciecha Młynarskiego, XVII Konkursu „Pamiętajmy o Osieckiej” czy Festiwalu „Moja Wolność” im. Jonasza Kofty. Wokalistka występowała u boku artystów, takich jak Piotr Rubik, Maryla Rodowicz, Krzysztof Cugowski, Stanisław Soyka czy Alicja Majewska oraz Włodzimierz Korcz. Agata Zakrzewska jest absolwentką muzykologii na Uniwersytecie Warszawskim. Ukończyła także Państwową Ogólnokształcącą Szkołę Muzyczną II stopnia im.

Grażyny Bacewicz w Warszawie, a obecnie pracuje jako trenerka wokalna i prowadzi w internecie bloga „Muzyczne Widzimy się”.

Po zakończeniu koncertu poznamy wytypowanych przez komisję konkursową laureatów tegorocznej edycji Festiwalu „Muzyka otwiera oczy”.

To jednak nie koniec muzycznych wrażeń. Już kolejnego dnia (niedziela, 12 października) festiwalowe wydarzenia przeniosą się do Over the Under Pub przy ulicy Dworcowej 51. Uroczysty Koncert Laureatów XV Festiwalu Widzących Duszą „Muzyka otwiera oczy” rozpocznie się o godzinie 16.00. Gościem specjalnym wydarzenia będzie Daria Barszcyk - wokalistka, absolwentka Akademii Muzycznej im. F. Nowowiejskiego w Bydgoszczy, nauczycielka emisji głosu w Ośrodku Kultury Ochoły w Warszawie, laureatka, między innymi, II miejsca na XV Festiwalu im. Andrzeja Zauchy w Bydgoszczy oraz I miejsca na XVI Festiwalu Zaczarowanej Piosenki w Krakowie. Artystka wystąpi wraz z zespołem w składzie: Kinga Czyżewska-Drabik (wokal), Maja Sobiech (perkusjonalia, wokal), Karol Radwan (instrumenty klawiszowe), Tomasz Bilecki (syntezatory, bas). Początek recitalu o godzinie 17.30.

Zaproszenia - cegiełki na Festiwal Widzących Duszą do odbioru w Światłowni. Koszt jednej cegiełki to 40 złotych. ©©

Kolejny trening cierpliwości kierowców

Maciej Czerniak
maciej.czerniak@polskapress.pl

Sułkowskiego, Fordońska przy Sochaczewskiej, Ogińskiego, Bałtycka, Gajowa - to tylko kilka ulic w Bydgoszczy, na których trwają prace drogowe i wodociągowe. Kierowcy odczuwają te utrudnienia.

- Niestety znów da się odczuć, jak ważna dla skomunikowania centrum miasta z Fordonem jest ulica Fordońska. Niby wiadomo, ale teraz dali nam popalić drogowcy - mówi Henryk Piwowarski, taksówkarz z Bydgoszczy. - W godzinach szczytu zaraz za wiaduktami na Fordońskiej tworzą się potężne korki. Ostatnio utknałem tam na dwadzieścia minut.

Chodzi, rzecz jasna o przebudowę związaną z utworzeniem drogi rowerowej wzdłuż Fordońskiej, a między ulicami Sochaczewską i Wiślaną. Trasa ma długość ok. 0,6 km. Będzie składała się z dwóch odcinków. Pierwszy poprowadzony zostanie od ul. Sochaczewskiej do istniejącej drogi za torami kolejowym. Drugi odcinek przebiegnie od końca istniejącej drogi rowerowej do ul. Wiślanej.

Lewoskręty, kładka nad torami...

W ramach zadania powstanie lewoskręt z ulicy Fordońskiej w ul. Sochaczewską. Prace ruszyły w środę. W związku z tym wprowadzono utrudnienia i zmiany w organizacji ruchu w obszarze skrzyżowania ulic.



Przebudowa ulicy Sułkowskiego, w tym budowa odcinka trasy rowerowej, potrwa do lutego 2026 roku

„Ruch na ul. Fordońskiej, na wysokości ul. Sochaczewskiej, będzie odbywał się jedynym pasem na jezdni północnej i jezdni południowej. Lewoskręty z ul. Fordońskiej w ul. Sochaczewską, a także z ulicy Sochaczewskiej w Fordońską zostaną wyłączone z ruchu. Aby dojechać z ulicy Fordońskiej do ul. Sochaczewskiej będzie można wykorzystać najbliższe skrzyżowanie z ulicą Kapliczną. Natomiast dostać się z ul. Sochaczewskiej w ul. Fordońską będzie można poprzez najbliższy węzeł na ul. Skandynawskiej” - zapowiedział przed rozpoczęciem robót Zarząd Dróg Miejskich i Komunikacji Publicznej w Bydgoszczy.

Budowa lewoskrętu z Fordońskiej w Sochaczewską potrwa ponad miesiąc. Po tym czasie wprowadzone zostaną kolejne zmiany w organizacji ruchu, związane z rozpoczęciem następnego etapu robót. Zakończenie całej inwestycji

planowane jest w maju 2026 roku.

... a tu droga dla rowerzystów

Od kilku dni utrudniony jest również przejazd ulicą Sułkowskiego w kierunku Chodkiewicza i w drugą stronę - ku Dwernickiego. Tam również trwa budowa drogi dla rowerzystów. Na skrzyżowaniu Kamiennej i Sułkowskiego powstało tymczasowe rondo. Prace mają się zakończyć w lutym przyszłego roku.

- Jesień rozpoczęła się na całego. Chyba większy ruch w mieście jest spowodowany przez studentów, którzy wrócili na uczelnie. We wtorek 7 października przez pół godziny szukałem miejsca parkingowego w rejonie Chodkiewicza - to z kolei uwaga pana Stanisława, który zadzwonił do naszej redakcji. - Do tego Sułkowskiego strasznie się korkuje przez te prace przy przebudowie ulicy.

Zmiany na Bartodziejach i w Śródmieściu

Utrudnienia są również w rejonie Gajowej i Fordońskiej. Tam prace mają zakończyć się - podobnie jak na Sułkowskiego - w lutym przyszłego roku. Roboty na tym skrzyżowaniu to część projektu MWiK, związanego z kontynuacją budowy i przebudowy systemu kanalizacji deszczowej w mieście. Z ulicy Fordońskiej nie można obecnie wjechać na Gajową, zarówno jadąc z Fordonu, jak i z miasta. Zachowany jest jedynie wyjazd z Gajowej w Fordońską.

W ramach realizowanego przez MWiK projektu, roboty prowadzone są już w kilku innych lokalizacjach. Firma Strabag działa przy al. Kaczyńskiego oraz na ul. Szamarzewskiego. W pierwszym wypadku prace prowadzone są głównie w pasie zieleni. Zamknięta jest część chodnika po wschodniej stronie ulicy przy skrzyżowaniu z ul. Nowotoruńską.

Na ulicy Szamarzewskiego w związku z budową urządzeń kanalizacji deszczowej ulica jest bez przejazdu na wysokości posesji nr 12a-16. Roboty w obu lokalizacjach mają zakończyć się do 31 grudnia 2025 r.

W wiele szybciej, bo już 12 października zakończy się za to remont torowiska na skrzyżowaniu Ogińskiego i Jagiellońskiej.

Co do prac MWiK-u w innych miejscach miasta, warto wymienić budowę urządzeń kanalizacji deszczowej również na ulicy Dolina, która potrwa do marca przyszłego roku. ©©

Jubileusz 70-lecia V LO w cieniu żałoby po śmierci dyrektora szkoły

Małgorzata Pieczyńska
malgorzata.pieczynska@polskapress.pl

V LO im. Ignacego Jana Paderewskiego ma 70 lat. Główne uroczystości odbędą się w sobotę (11 października) w Kinoteatrze Klubu Inspektora Wsparcia Sił Zbrojnych przy ul. Dwernickiego, ale będą miały zupełnie inny charakter niż planowano. Społeczność szkolna jest bowiem w żałobie po śmierci śp. Leszka Siekierskiego, wieloletniego dyrektora Liceum na Kapuściskach.

Dyrektor Leszek Siekierski zmarł w ubiegłą sobotę (4 października). Jego pożegnanie odbędzie się w najbliższy piątek (10 października) o godz. 10 na Cmentarzu Parafialnym Najświętszego Serca Pana Jezusa w Bydgoszczy.

- Wszyscy jesteśmy poruszeni tą śmiercią - mówi Magdalena Jasińska, wicedyrektor V LO. -

Od rodziny dyrektora Siekierskiego wiemy, że Jego wolą było, aby bez względu na wszystko uroczystości jubileuszowe się odbyły. Tak naprawdę to On był reżyserem tego widowiska. Przygotowania do jubileuszu trwały bardzo długo i pan dyrektor bardzo się w nie zaangażował i koordynował całość. Na pewno w związku ze śmiercią naszego dyrektora zmieni się charakter tych uroczystości.

Przypomnijmy, że jeszcze latem br. dyrektor Leszek Siekierski wspólnie z Marianem Szczerbą, wieloletnim i niezwykle szanowanym dyrektorem „Piątki”, nagrali filmik na YouTube, w którym zapraszali wszystkich do udziału w uroczystościach jubileuszowych.

Historia V LO

V LO im. Ignacego Jana Paderewskiego w Bydgoszczy to liceum, które zajmuje ważne

miejsce na edukacyjnej mapie Bydgoszczy. Szkoła została powołana do życia 1 września 1955 roku decyzją Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej (podlegający jej Wydział Oświaty znajdował się w Toruniu). Początkowo funkcjonowała jako



Śp. dyr. Leszek Siekierski

połączona „Szkoła Podstawowa i Liceum Ogólnokształcące nr 5” na osiedlu Kapuściska, przy ul. Janka Krasińskiego (dziś Krzysztofa Kamila Baczyńskiego). Przez rok kierował nią Alojzy Goliński.

W 1965 roku szkoły zostały rozdzielone, a liceum działało pod wspólnym nowym dachem tzw. „Pomnika Tysiąclecia”. Przeprowadzka do budynku przy ul. Zacisze 16 odbyła się 24 czerwca 1964 roku, a w ramach obchodów XX-lecia PRL szkole nadano imię Leona Kruczkowskiego. W 1969 roku dyrektorem szkoły został jej dotychczasowy wicedyrektor, Marian Szczerba, który kierował placówką przez 27 lat, mury „Piątki” opuściło w tym czasie 3673 absolwentów. Od 1 września 1974 r. siedziba szkoły znajduje się przy ul. Szarych Szeregów 4a.

Od 2002 roku funkcję dyrektora pełnił zmarły kilka dni temu dyrektor Leszek Siekierski. Nasta-

nowisku zastąpił Tamarę Jakubowską. Pod jego wodzą szkoła przeszła modernizację infrastruktury, rozwijała edukację informacyjną oraz prowadziła liczne projekty społeczne i edukacyjne.

- Na przestrzeni lat rozwijał się szkolny samorządność, harcerstwo, koła zainteresowań, teatr i działalność sportową - informuje Magdalena Jasińska. - W 2014/2015 oddano do użytku nowoczesne wielofunkcyjne boisko, a w 2019 roku uruchomiono basen „Piąta Fala”.

„Piątka” ma się czym chwalić

Niezwykle ważny był dla „Piątki” rok 2018. To wtedy liceum na Kapuściskach oficjalnie otrzymało patronat Ignacego Jana Paderewskiego, podkreślając pięć najważniejszych wartości: szacunek do nauki i pracy, empatię, wrażliwość na sztukę oraz patriotyzm.

- Nasza szkoła odnosi także sukcesy w działaniach praktycznych i międzynarodowych projektach edukacyjnych - podkreśla Magdalena Jasińska. - Grupy ratownicze zdobywają nagrody w regionie i w całej Polsce, a uczniowie aktywnie uczestniczą w programach Erasmus+, odwiedzając Włochy, Portugalię, Francję, Irlandię, Finlandię, Wielką Brytanię i Niderlandy - w sumie z kursów, szkoleń i wymian skorzystało 80 uczniów i 12 nauczycieli. Realizowane są także projekty e-Twinning, które pozwalają przy użyciu nowoczesnych technologii nawiązywać kontakty ze szkołami na całym świecie.

„Piątka” współpracuje również z licznymi instytucjami edukacyjnymi i kulturalnymi, uczelniami, m.in., UKW, UMK, Politechniką Bydgoską, a także realizuje projekty miejskie dotyczące aspektów społecznych, tolerancji i demokracji. ©©

DO UDZIAŁU W KONKURSIE ZAPRASZA MARSZAŁEK WOJEWÓDZTWA PIOTR CAŁBECKI

KUJAWY
POMORZE



WEŹ UDZIAŁ W KONKURSIE

i wygraj podwójne zaproszenie na warsztaty kulinarne z **Michелеm Moranem**



Jeżeli lubisz gotować, próbować nowych smaków i eksperymentować w kuchni to konkurs w sam raz dla ciebie!

Napisz w maksymalnie 11 słowach, dlaczego to właśnie ty powinnaś lub powinieneś otrzymać zaproszenie na gęsinowe warsztaty kulinarne. Jednym z tych słów musi być „gęsina”.

Autorów siedmiu najciekawszych i najbardziej kreatywnych odpowiedzi nagrodzimy dwuosobowymi zaproszeniami na warsztaty z Michele Moranem, które odbędą się **7 listopada 2025 roku w Toruniu**. Ich głównym tematem będzie gęsina odmieniana przez wszystkie kulinarne przypadki.

Na twoje zgłoszenie czekamy **od 1 do 18 października.**

Szczegóły, regulamin i formularz zgłoszeniowy znajdziesz na stronie:

www.expressbydgoski.pl/gesina



ORGANIZATOR KONKURSU: POLSKA PRESS SP. Z O. O.

KONKURS ODBYWA SIĘ W RAMACH AKCJI „KUJAWSKO-POMORSKA GĘSINA NA ŚW. MARCINA”, KTÓREJ ORGANIZATOREM JEST SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA KUJAWSKO-POMORSKIEGO

www.kujawsko-pomorskie.pl



Samorząd Województwa
Kujawsko-Pomorskiego



Rzeczpospolita
Polska

Dofinansowane przez
Unię Europejską



Samorząd Województwa
Kujawsko-Pomorskiego

ZUS odrzuca co dziesiąty wniosek wdowców

Małgorzata Stempinska
malgorzata.stempinska@polskapress.pl

Do końca września br. ZUS wydał 113,2 tys. decyzji odmownych w sprawie przyznania renty wdowiej. Najczęstszą przyczyną było pobieranie zbyt wysokiego własnego świadczenia.

Od stycznia można składać wnioski o tzw. rentę wdowią, czyli o połączenie wypłaty własnego świadczenia emerytalno-rentowego takiego jak: emerytura z rentą rodzinną po zmarłym małżonku. Należy jednak pamiętać, że oba świadczenia nie będą wypłacane w pełnej wysokości. Można otrzymać pełną rentę rodzinną po zmarłym małżonku oraz 15 proc. swojego świadczenia lub odwrotnie. Od 1 stycznia 2027 roku drugie świadczenie wypłacane będzie w wysokości 25 proc.

Całkowita kwota wszystkich świadczeń nie może jednak przekraczać trzykrotności minimalnej emerytury, czyli od 1 marca br. 5636,73 zł brutto. - W przypadku, gdy suma świadczeń w zbiegu przekroczy trzykrotność najniższej emerytury, świadczenie zosta-

nie pomniejszone o kwotę przekroczenia. Jeśli natomiast wysokość dotychczas pobieranego świadczenia przekracza trzykrotność najniższej emerytury, prawo do łączenia świadczeń z rentą rodzinną nie przysługuje - wyjaśnia Krystyna Michałek, regionalna rzeczniczka prasowa ZUS w województwie kujawsko-pomorskim.

Wnioskują głównie kobiety

Od stycznia 2025 roku do ZUS wpłynęło już ponad 1 mln 123 tys. wniosków o rentę wdowią. Zdecydowaną większość, bo aż 88 proc., złożyły kobiety. W naszym regionie liczba wniosków przekroczyła 63,7 tys. Nie wszystkie osoby spełniają jednak warunki do przyznania świadczenia. Do końca września ZUS wydał 113,2 tys. decyzji odmownych. Oznacza to, że co dziesiąty wniosek został odrzucony.

Najczęstszą przyczyną była zbyt wysoka kwota pobieranego świadczenia - powyżej trzykrotności minimalnej emerytury, czyli 5636,73 zł brutto.

Pozostałe przyczyny odrzucenia wniosków o rentę wdowią to: nabycie prawa do renty



Od marca 2026 limit renty wdowiej wyniesie ponad 5900 zł brutto - załapie się więcej osób

rodzinnej wcześniej niż 5 lat przed osiągnięciem powszechnego wieku emerytalnego, brak prawa do renty rodzinnej lub własnego świadczenia, brak wspólności małżeńskiej do dnia śmierci współmałżonka, a także zawarcie nowego małżeństwa czy nieosią-

gnięcie wieku uprawniającego do emerytury.

Pomoga wypełnić wniosek

Osoby potrzebujące wsparcia w wypełnieniu wniosku, mogą liczyć na pomoc pracowników ZUS-u. Podczas wizyty w pla-

cówce pracownik zapyta, m.in., o PESEL, datę śmierci współmałżonka, po którym przysługuje renta rodzinna, a także o wspólność małżeńską, czyli czy prowadzone było wspólne gospodarstwo domowe, czy małżonkowie wspólnie zamieszkiwali lub łączyły ich inne więzy.

Na wizytę w placówce ZUS należy zabrać ze sobą dokument tożsamości, taki jak dowód osobisty lub paszport. Można również skorzystać z e-Dowodu dostępnego w aplikacji „mObywatel”, który umożliwi pracownikowi Sali Obsługi Klientów potwierdzenie tożsamości. - Należy również podać numer rachunku bankowego, na który ma być przekazywana renta wdowia. Niestety, wiele osób o tym zapomina. Jeśli dotychczas ZUS wypłacał świadczenie za pośrednictwem poczty, klient ma możliwość kontynuowania tego sposobu lub zmiany na wypłatę bezpośrednio na konto w banku - mówi Krystyna Michałek.

Co zrobić, gdy ZUS odmówi świadczenia?

Od decyzji przysługuje odwołanie, które należy wnieść pisemnie lub ustnie do protokołu, za pośrednictwem jednostki organizacyjnej ZUS-u, która wydała decyzję, do sądu okręgowego - sądu pracy i ubezpieczeń społecznych, w terminie miesiąca od dnia doręczenia decyzji. Postępowanie odwoławcze jest wolne od opłat. ©©

Hazard i zasiłki. Afera w MOPR. Wyłudził 2,8 mln zł!

Małgorzata Oberlan
malgorzata.oberlan@polskapress.pl

Przez 9 lat Piotr R., będąc pracownikiem MOPR w Toruniu, dokonał ponad stu przestępstw. Łącznie wyłudził 2 mln 800 tys. zł zasiłków na kilkudziesięciu fikcyjnych bezdomnych.

- Przyznaję się do zarzucanych mi czynów. Bardzo wszystkiego żałuję. Hazard był moją wielką miłością, ale udało mi się z tego wyjść - mówił Piotr R. na sali sądowej.

Proces tego byłego już pracownika MOPR Toruń ruszył w Sądzie Okręgowym w Toruniu 1 października. Mężczyzna ma 50 lat. Przez dziewięć lat (2014-2023) tworzył w dokumentach fikcyjne postaci osób bezdomnych i na nich pobrał łącznie 2,8 mln zł zasiłków. Teraz się kaja i składa w sądzie obszernie wyjaśnienia.

Nikt nic nie zauważył

Skala tego przestępczego procederu i straty Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie w Toruniu są gigantyczne. - Ustalono, że wysokość wyrządzonej przestępstwem szkody wynosi ponad 2 miliony 800 tysięcy złotych - mówi Izabela



Przez blisko 9 lat Piotr R., będąc pracownikiem MOPR w Toruniu, dokonał 102 przestępstw

Oliver, rzeczniczka Prokuratury Okręgowej w Toruniu.

Piotr R. okradł MOPR przez blisko dziewięć lat - w uzasadnieniu aktu oskarżenia mowa jest o okresie od 1 października 2014 do 31 października 2023 roku. Dyrektorami ośrodka w tym czasie byli kolejno: Kazimiera Janiszewska, Jarosław Bochenek (odwołany przez ówczesnego prezydenta Michała

Zaleskiego jesienią 2020 roku), Iwona Urbańska (była p.o.) i Rafał Walter (powołany na stanowisko we wrześniu 2021 roku).

Rafał Walter szefem ośrodka jest do dziś. To on też w listopadzie 2023 roku formalnie zawiadomił prokuraturę o przestępstwie. Zgłosił wyłudzenie zasiłków na 3 fikcyjnych bezdomnych. Pracownicy MOPR już wtedy alarmowali śled-

czych i media, że skala oszustwa jest większa. I mieli rację! Zasiłki wyłudzano na kilkudziesięciu bezdomnych.

Początek tej afery jako pierwsze ujawniły toruńskie „Nowości” - w styczniu ubiegłego roku. Nikt oprócz pracowników ośrodka nie spodziewał się chyba wtedy, o jakim przekręcie i jakich milionowych stratach miejskiej placówki jest mowa.

Jak działał Piotr R.? Śledztwo w tej sprawie przeprowadziła i zakończyła latem br. skierowaniem aktu oskarżenia do sądu Prokuratura Rejonowa Toruń Centrum Zachód. Oto, co ustalili.

Będąc pracownikiem MOPR Toruń mężczyzna stworzył postaci kilkudziesięciu bezdomnych. Swoim przełożonym, zajmującym się przyznawaniem zasiłków takim osobom, przedstawiał sfałszowane dokumenty.

Miały podrobione podpisy itd. Przez lata jakoś mu się to oszustwo udawało. Łącznie wydano decyzje o przyznaniu zasiłków dla kilkudziesięciu takich „spręparowanych” bezdomnych.

- W ten sposób Piotr R. doprowadził do przyznania świadczeń kilkudziesięciu fikcyjnym

osobom i zasilania środkami finansowymi kart przedpłaconych przyznanych osobom bezdomnym. Pieniądze wykorzystwał wypłacając je dla siebie - przekazuje prokurator Izabela Oliver.

Tu wyjaśnijmy, że w Toruniu taka forma wypłacania zasiłku dla osób bezdomnych - nie w kasie „do ręki” czy inny sposób - budziła od początku wątpliwości wśród pracowników socjalnych. Stosowana jest jednak także w innych rejonach kraju.

Z pracy do aresztu

Podsumowując: Piotr R. podsumował przełożonym fałszywe dokumenty, oni latami wydawali decyzje przyznające zasiłki, a on potem wypłacał sobie pieniądze z kart przedpłaconych. Gdy wreszcie afery wyszła na jaw, został zwolniony z pracy.

Akt oskarżenia przeciwko Piotrowi R. trafił już do sądu.

Będąc pracownikiem Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie w Toruniu mężczyzna stworzył postaci kilkudziesięciu bezdomnych

Na etapie śledztwa, jak przekazuje prokuratura, mężczyzna był tymczasowo aresztowany. Teraz już nie jest.

-Już na etapie śledztwa przesłuchany w charakterze podejrzanego przyznał się do popełnienia zarzucanych mu czynów i złożył wyjaśnienia zgodne z ustalonym w sprawie stanem faktycznym. Jak dodał, żałuje tego co zrobił - przekazuje prokurator Izabela Oliver.

Co kierowało mężczyzną? Był w szponach hazardu. A co mu grozi za zarzucane oszustwa, fałszowanie dokumentów i wyłudzenia ponad 2 mln 800 tys. zł? I to dokonane jako osoba posiadająca status funkcjonariusza publicznego? Kara wieloletniego więzienia. Poza tym, będzie musiał naprawić szkodę, jeśli tylko tak orzeknie sąd kończąc proces wyrokiem. -Prokuratura już wniosła o naprawienie przez niego szkody w całości - kończy prokurator Izabela Oliver.

Co natomiast z osobami odpowiedzialnymi za nadzór nad Miejskim Ośrodkiem Pomocy Rodzinie w Toruniu? Prokuratura nie przekazuje, by w tym zakresie prowadziła śledztwo i komuś postawiła zarzuty. ©©

Pod bramą dawnego bydgoskiego „Zachemu” będzie park handlowy

Wojciech Mąka
wojciech.maka@polskapress.pl

Na Kapuściskach mają powstać renomowane butiki, sieciowe sklepy i komercyjna strzelnica. Taki plan ma nowy właściciel terenu przy wjeździe do dawnych Zakładów Chemicznych „Zachem”.

Przy wjeździe do dawnego „Zachemu” powstanie duży park handlowy. Chodzi o teren po prawej stronie jezdni przed wjazdem na teren Byd-

goskiego Parku Przemysłowo-Technologicznego w Bydgoszczy, czyli dawnej bramy Zakładów Chemicznych „Zachem”. Teraz najczęściej wspomina się o tej okolicy z powodu sąsiada - Nitro-Chemu, który jest jednym z największych producentów trotylu na świecie.

Wcześniej ten rejon, blisko lasu i bramy do wielu firm, wybrała na sklep Biedronka - portugalska sieć Jeronimo Martins. Lokalizacja nie była przypadkowa. W bliskiej okolicy nie ma innych dyskontów. Jest

za to sporo klientów, którzy pracują na terenie parku przemysłowego.

Obecnie na działkach, które sąsiadują z Biedronką, stoi zrujnowany obiekt.

Lata temu w była tam stołówka dla pracowników zakładów chemicznych „Zachem”, a później funkcjonował tam sklep z proszkami do prania i szamponami. Na wyblakłym szyldzie można jeszcze przeczytać, że w cenach konkurencyjnych można było kupić środki higieny osobistej i na-

poje chłodzące. Jest też informacja, że obecna ruderą była w przeszłości także restauracja.

Obiekt kupiła spółka Ka-Bo Borkowski z Włocławka. W planach jest stworzenie tutaj parku handlowego.

Na razie przedstawiciele włocławskiej spółki są na etapie poszukiwania najemców.

Jest też pomysł dość nietypowy jak na park handlowy. W jego części miałyby powstać nowoczesna strzelnica o charakterze komercyjnym. ©©



FOT. DARIUSZ BŁOCH

Lata temu w była tu stołówka dla pracowników Zachemu, a później sklep z proszkami do prania i szamponami

AUTOREKLAMA

0011368920

3. BIEG DLA JAJ

RODZINNE BIEGANIE W SŁUSZNEJ SPRAWIE!

BIEG GŁÓWNY (18+) 5 km
BIEGI DLA DZIECI (6-12 LAT) 400 i 800 m
MARSZOBIEG (13+) 2,5 km

ZAPISZ SIĘ NA [EXPRESSBYDGOSKI.PL/BIEGDLAJAJ](https://expressbydgoski.pl/biegdlaajaj)

9 XI 2025

BYDGOSZCZ

BCTW/Ogród Botaniczny w Myślecinku



ambasador akcji
BŁAŻEJ BRZEZIŃSKI
dwukrotny Mistrz Polski w maratonie

ORGANIZATOR



SPONSOR STRATEGICZNY



PARTNER STRATEGICZNY

Samorząd Województwa
Kujawsko-Pomorskiego

PARTNER BIURA ZAWODÓW



PARTNER GŁÓWNY

Asparagin®

PARTNERZY



PARTNERZY MERYTORYCZNI



PATRONAT HONOROWY



PATRONAT MEDIALNY



TVP info_



Jesteśmy akordeonistami, a to zmienia wszystko

Magda Jasińska
Zwierzenia przy muzyce

Motion Trio w składzie Janusz Wojtarowicz, Paweł Baranek i Marcin Gałażyn. Trio akordeonowe, które niedawno gościło na 63. Bydgoskim Festiwalu Muzycznym „Kontrasty – śladami MAEO”.

Wkrótce będziecie obchodzić jubileusz?

Janusz Wojtarowicz: My tak dziwnie obchodzimy te jubileusze. Kraków w ogóle to miasto, w którym działamy, tam pracujemy i trochę odzegnujemy się od tego jubileuszu. Co chwilę te nasze trzydziestolecie Motion Trio przekładamy o rok, o rok i teraz wypadło mniej więcej na 2027, albo 2028 rok.

Marcin Gałażyn: Poczekamy jeszcze z jubileuszem, bo postanowiliśmy się starzeć nieco wolniej.

Paweł Baranek: Na pewno będą koncerty, ale jeszcze trochę cierpliwości.

25-lecie było w pandemii...

Janusz Wojtarowicz: Tak, nawet tego nie liczymy, bo to był taki czas dosyć mglisty, więc



Zwierzenia przy muzyce Motion Trio (na zdjęciu z prowadzącą Magdą Jasińską) na antenie Radia PiK dziś o godzinie 20.05

dochodzimy do wniosku, że na 30-lecie, mam nadzieję, że wszelkie plagi egipskie nas ominą i będzie można zorganizować to z pełną godnością i radością.

Jak to jest współtworzyć przez tak długi czas jeden organizm? Klóćcie się?

Marcin Gałażyn: Tak, najczęściej artystycznie, ale wiary nie leca, a jak nawet leca, to wszystko dla dobra muzyki.

Oj, widzę, że jesteście zgodni, ale szef jest?

Paweł Baranek: Tak, musi być zawsze. Ale powiem państwu tak, zresztą pani sama już to zauważyła, że to, iż jesteśmy tyle lat razem musi świadczyć o tym, że są jakieś życiowe zmiany i jakieś przepływy między nami. Emocje, które wykraczają ponad taki normalny spór i to są fakty. Tyle lat razem w jednym składzie.

Janusz Wojtarowicz: Wiele osób nam mówi, że to jest naj-

wiekszy sukces. Powinniśmy pisać w notce: zespół działający w niezmiennym składzie od 1997 bodajże roku.

A nie od 1996?

Marcin Gałażyn: Tam były niewielkie zmiany personalne, ale w tym składzie od 1997.

Janusz Wojtarowicz: No ale to było tak dawno, że tak naprawdę to nie ma znaczenia. Przecież jakie to fajne prawda 30-lecie zespołu jest w 2026, biorąc pod uwagę samą taką datę. Powiem państwu tak, że na pewno nie będziemy organizować jednego jubileuszowego koncertu. Nie chcemy robić tak, że będziemy kończyć naszą karierę. Będziemy organizować koncerty przez kilka lat jako ostatnie już i zrobimy last tour, a później będziemy się reaktywować, bo „last”, to zawsze dobrze promuje kolejną płytę.

Paweł Baranek: Ja myślę, że to podchodzi pod rekord Guinnessa. Będziemy chyba kandydować za jakiś czas do najdłuższej działającego zespołu akordeonowego, bo my wszyscy jesteśmy akordeonistami, a to zmienia wszystko.

Wiele jest dowcipów na temat waszych instrumentów?

Janusz Wojtarowicz: Chwileczkę, chwileczkę.

Niedawno sprzeczałam się z Krzysztofem Komendakiem - altowiolistą, pytając czy więcej jest dowcipów na temat altówki, czy więcej na temat akordeonu.

Marcin Gałażyn: 3 dni temu w Kąsnej Dolnej mieliśmy koncert, mieliśmy chwilę na obiad i rozmawialiśmy z paniami od strony technicznej. No i właśnie wpadł dokładnie ten temat, który pani porusza i wyszło, że akurat dowcipów o akordeonach to nie jest aż tak dużo. Jest dużo nazewnictwa dotyczącego akordeonu, ale dowcipy krążą tak, jak pani mówi, o altowiolistach.

Janusz Wojtarowicz: O akordeonie są tak naprawdę 2 dowcipy, nie będziemy ich tutaj wypowiadać, bo nie po to się wszyscy spotkaliśmy, ale wszyscy je znają. Jeden z dżentelmenem, a drugi o tym dlaczego nie zostawiać akordeonu w samochodzie. A resztę proszę sobie doprecyzować. Natomiast taka była konkluzja całej naszej rozmowy, bo to był koncert

w Dworze Paderewskiego, z orkiestrą AUKSO i pomyśleliśmy sobie tak, że już ludzie z czystej przyzwoitości, z poczucia takiej litości jakby nad nami, to już oszczędzili nam dowcipów. A jak określamy nasz instrument? Proszę zająć do internetu i to jest takie cudowne, ponieważ jeśli jest akcja, to musi być reakcja. To powoduje, że większość akordeonistów, to jest takie żyte środowisko z sobą. Ja nie powiedziałbym, że jest żyte w nie-szczęściu, bo to jest nasze największe szczęście, natomiast nas to dużo bardziej integruje, przynajmniej w pewnych sytuacjach.

Paweł Baranek: A ile jest prześmiewczych nazw naszych instrumentów. Myślę, że nie sprecyzowano jeszcze, ale tak powyżej 100 na pewno. Co chwilę to się zmienia. Ja, jak jestem zły na swój instrument, to też wymyślam jakieś określenie.

Kto wpadł na genialny pomysł, żeby stworzyć program z kompozycjami Jana A.P. Kaczmarka.

Janusz Wojtarowicz: To był pomysł pana Jana (...)

Polska miła sercom Japończyków, nie tylko przez Chopina

Iwona Góralczyk
iwona.goralczyk@polskappress.pl

Bydgoszczanin Michał Woźniak po raz kolejny odwiedził Japonię. Na jego szlaku nie mogło zabraknąć światowej wystawy Expo 2025 w Osace. Pracujące w polskim pawilonie studentki, w tym m.in. z poznańskiego Uniwersytetu Adama Mickiewicza, opowiedziały, co zrobiło furorę podczas Tygodnia Kujawsko-Pomorskiego. Jak się okazuje, Japończycy pokochali... Wicka, czyli maskotkę z Włocławka w kształcie dzbanka inspirowanego motywami tamtejszego fajansu.



Wystawa przyciąga tłumy Japończyków. Jednym z elementów promujących region jest maskotka Wicka - włocławskiego dzbanka. Sąsiedzi z Wielkopolski kuszą Kajkiem i Kokoszem - na zdjęciu z Michałem Woźniakiem

Do 13 października w Japonii trwa Expo 2025, największe i najważniejsze wydarzenie gospodarczo-kulturalne na świecie. Wystawę można oglądać na wybudowanej na wodach Zatoki Osaka wyspie Yumeshima. Swoją dorobek prezentuje tu ponad 160 krajów. Szacuje się, że wystawę odwiedzi ponad 28 mln osób.

Pokochali Wicka

Kujawsko-Pomorskie znalazło się w dziesiątkach tysięcy internetowych relacji choćby

za sprawą Wicka, maskotki zbranej do Japonii z Włocławka, natomiast wielkopolscy sąsiedzi mają również sympatycznych przewodników Kajko i Kokosza przechadzających się pośród tłumów.

Wystawę Expo w Japonii odwiedził bydgoszczanin Michał Woźniak, wieloletni pilot wycieczek krajowych i zagranicznych. - Samo dotarcie na imprezę, gdzie jest Expo, to duże wyzwanie - relacjonuje z Japonii.

- Metro jest zapchane, właściwie wokół jest dziki tłum,

rzeka ludzi. I tak każdego dnia. Bilety są na określone godziny, ale jest problem, aby o czasie się tam dostać. Natomiast gdy już dotrzemy, no to można się przekonać, że tu jest naprawdę mnóstwo fantastycznych prezentacji.

Swoje pawilony mają na Expo najwięksi, jak Kanada, Stany Zjednoczone, Chiny czy Australia. Ale jest też sporo mniejszych, które również zachwycają. Dużą popularnością pośród nich cieszy się pawilon Arabii Saudyjskiej, która ubie-

ga się o organizację Expo w 2030 roku.

Nie tylko Chopin

Japończycy chętnie odwiedzają europejskie stoiska, w tym pawilon przygotowany przez Polskę.

- Polska jest w Japonii sercu miła, a to za sprawą Chopina i jego muzyki - przyznaje Woźniak, dodając: - Jak się jednak okazuje, nie tylko Chopin ich przyciąga, ale i mniej u nas znana Tekla Bądarzewska-Baranowska, pianistka, kompozytorka utworów na fortepian, w tym „Modlitwy dziewicy”. W tokijskim metrze, w okresie Bożego Narodzenia, słychać początek tego właśnie utworu Bądarzewskiej.

Bydgoski przewodnik uściśliła, że Japończycy to jednak w większości ateści, a Boże Narodzenie traktują jako święto komercyjne, zabawę, event, który tu się przyjął i się podoba.

- To nie ma nic wspólnego z religią. Chryścijan w Japonii jest niewielu. W Bożym Narodzeniu najważniejsza jest choinka, światła, wystrój, ale i tradycja spotykania się na wigilijnej kolacji. W tym ostatnim jest pewien fenomen. A wszystko za sprawą amerykańskiej reklamy telewizyjnej i KFC.

Właściwie można powiedzieć, że wigilia w Japonii jest tożsama z wizytą w KFC.

- Oni tak kojarzą to święto - z jedzeniem kurczaka w rodzinnym gronie. Niektórzy zamawiają czerwone kubeczki z tej sieci nawet kilka tygodni przed 24 grudnia.

Co w zwiedzaniu Expo 2025 może być uciążliwe?

- Tłumy i kapryśna pogoda. Do pawilonów są olbrzymie kolejki. Próbowano to trochę zmodyfikować, robiąc loterię wśród posiadaczy biletów. Na zasadzie, wygrany ma od razu wstęp do określonego miejsca. Ale to nie zadziałało. Pogoda też uprzykrza i dezorganizuje tu dzień. Jest albo upał, albo ulewa. I tak co chwilę.

Kopernik, prof. Czochralski i DJ Funktion

Jeśli chodzi o pawilon Polski, przyciąga niebanalna, drewniana konstrukcja.

- Rozmawiałem ze studentkami, które obsługują nasze stoiska. Podkreślały, że Kujawsko-Pomorskie bardzo się podobało. Szczególnie przyciągał Kopernik i wszystko wokół niego, poza tym dorobek profesora Czochralskiego, a także muzyka, w tym DJ Funktion.

No i furorę zrobiła maskotka Wicke, oryginalna, w kształcie dzbanka z motywami włocławskiego fajansu.

Na Expo 2025 w Japonii promuje się także Wielkopolska

- Pokazują zabytki, atrakcje wpisane w Szlak Piastowski, naszą najstarszą historię. W zwiedzaniu pomagają sympatyczne maskotki, znani z kultowych komiksów autorstwa Janusza Christy przewodnicy Kajko i Kokosz.

Japońskie dzieci śpiewają polskie piosenki

Codziennie wielotysięczny tłum opuszcza teren Expo około godziny 17-18.

- Wtedy wychodzi osiemdziesiąt procent ludzi. I zaczynają się koncerty, eventy, w nieco spokojniejszych warunkach - opowiada Woźniak. - Przy pawilonie polskim koncerty chopinowskie daje, na przykład, Jadwiga Sakakibara, która mieszka w Japonii od kilkunastu lat, a na co dzień prowadzi tu szkołę muzyczną. Uczy... polskich pieśni. Opowiada, jak japońskie dzieci śpiewają „Gdybym ja była słoneczkiem na niebie, nie świeciłabym jak tylko dla ciebie”. ©©

Profilaktyka nowotworowa – codzienne wybory, które mogą uratować życie

Nowotwory to jedno z największych wyzwań współczesnej medycyny. W obliczu rosnącej liczby zachorowań, profilaktyka staje się nie tylko medycznym obowiązkiem, ale i społeczną koniecznością. Jednak, jak tłumaczy dr Tomasz Mierzwa, koordynator Zakładu Profilaktyki i Promocji Zdrowia Centrum Onkologii, to nie tylko badania. To także styl życia i decyzje, które podejmujemy każdego dnia.



Jak tłumaczy dr Mierzwa, działania profilaktyczne dzielą się na dwa główne nurty: pierwotny i wtórny. Pierwszy to edukacja, zdrowy styl życia, szczepienia i unikanie czynników ryzyka. Drugi – badania przesiewowe, które pozwalają wykryć chorobę na wczesnym etapie. – *Profilaktyka pierwotna to działania, które mają nie dopuścić do wystąpienia choroby nowotworowej. Profilaktyka wtórna to badania, które mają ją wykryć, zanim da objawy* – wyjaśnia ekspert.

CZYNNIKI RYZYKA, KTÓRE MOŻNA KONTROLOWAĆ

– *Palenie papierosów to nasza decyzja* – mówi dr Mierzwa, wskazując, że uzależnienie to odpowiada za 90-95% przypadków raka płuc. W dymie tytoniowym znajduje się aż 6000 substancji chemicznych, z czego co najmniej 60 to silne czynniki rakotwórcze. – *Każdy palacz zamyka się codziennie w komorze gazowej. To drastyczne porównanie, ale oddaje skalę zagrożenia* – dodaje.

Podobnie alkohol – choć specjalista nie nawołuje do całkowitej abstinencji, zaleca umiarkowane spożycie, wskazując, że to, co przyjemne, często jest najbardziej szkodliwe.

Do tego dochodzi zdrowa dieta i aktywność fizyczna. – *Tak ma wyglądać nowoczesna profilaktyka i nie da się od tego uciekać* – zaznacza specjalista.

SZCZEPIENIA – SKUTECZNA BROŃ PRZECIWKO WIRUSOM ONKOGENNYM

W profilaktyce nowotworowej ogromną rolę odgrywają szczepienia.

– *Nie ma szczepionek przeciwko nowotworom, ale są przeciwko chorobom, które mogą do nich prowadzić* – tłumaczy dr Mierzwa. Przykładem są szczepienia przeciwko wirusowi HPV, który odpowiada nie tylko za raka szyjki macicy, ale także nowotwory odbytu, prącia, jamy ustnej czy gardła.

– *To szczepienie dedykowane jest młodzieży, zarówno dziewczętom, jak i chłopcom. Chodzi o to, by zanim rozpoczną życie seksualne, ich organizm był przygotowany na kontakt z wirusem* – dodaje.

BADANIA PRZESIEWOWE – SZANSA NA WCZESNE WYKRYCIE

Dostępne w Polsce programy profilaktyczne obejmują m.in. mammogra-

fię, cytologię i kolonoskopię. Niestety, jak zauważa dr Mierzwa, ciągle mamy z tym wielki problem – zgłaszalność do badań mammograficznych wynosi około 30-35%, a powinna sięgać 70-75%.

W przypadku kolonoskopii, aż 30% osób zgłaszających się bezobjawowo ma polipy, z których część to stany przedrakowe. – *To badanie może uratować życie. Trwa 20-25 minut, a w razie potrzeby można je wykonać w znieczuleniu ogólnym* – tłumaczy ekspert.

Po wakacjach warto przyjrzeć się swojej skórze. – *Każde oparzenie słoneczne w dzieciństwie to kilka procent więcej ryzyka zachorowania na nowotwór skóry w przyszłości* – ostrzega dr Mierzwa. Zaleca coroczne badanie dermatoskopowe, które pozwala ocenić znamiona

i w razie potrzeby usunąć podejrzaną zmianę. – *Ten zabieg może dać nam spokój na rok lub pozwolić na szybkie leczenie* – dodaje.

KUJAWSKO-POMORSKIE – REGION PODWYŻSZONEGO RYZYKA

Nasze województwo znajduje się w czołówce krajowej pod

względem zachorowalności i umieralności na nowotwory. Centrum Onkologii prowadzi działania edukacyjne, m.in. program „Szkoła w profilaktyce onkologicznej”, który ma na celu uświadamianie młodzieży i kształtowanie zdrowych nawyków. – *To młodzi ludzie mają być awangardą, mają zanieść wiedzę do domu, wpłynąć na rodziców, zadbać o siebie i innych* – podkreśla dr Mierzwa.



Zachęcamy do wysłuchania całej rozmowy z dr. Tomaszem Mierzwą – w podcaście „Porozmawiajmy o” dostępnym na serwisie internetowym „Expressu Bydgoskiego”.



ZOBACZ NOWĄ ODSŁONĘ akcji Siła Kobiety – projektu artystyczno-społecznego, zwracającego uwagę na profilaktykę chorób nowotworowych.

Poznaj 12 silnych kobiet, zobacz wyjątkowe zdjęcia, dowiedz się, jak dbać o zdrowie.

TERMINY WYSTAW

TORUŃ – CAŁY PAŹDZIERNIK!
Urząd Marszałkowski
Województwa Kujawsko-Pomorskiego
w Toruniu

BYDGOSZCZ – 4-12 października
Focus Bydgoszcz

GRUDZIĄDZ – 13-19 października
Galeria Grudziądzka

INOWROCŁAW – CAŁY PAŹDZIERNIK!
Galeria Solna

TORUŃ – 1-9 października
Galeria Copernicus

WŁOCŁAWEK – 20-26 października
Wzorcownia Włocławek

SPRAWDŹ TAKŻE INTERNETOWĄ GALERIĘ NA STRONIE expressbydgoski.pl/silakobiety/re

ORGANIZATOR



WSPÓŁPRACA



PATRONAT HONOROWY



PARTNER STRATEGICZNY



PARTNERZY LOKALIZACYJNI



PARTNERZY



PARTNER MERYTORYCZNY





Jarosław Reszka

MINAŁ TYDZIEŃ WIECZNE ODPOCZYWANIE POD NAPIĘCIEM

Stosy zniczy w promocyjnych cenach w marketach jak co roku przypominają, że Wszystkich Świętych za pasem. Bydgoski ratusz też ma promocyjne wieści związane z tym tematem. Niedawno poinformował otóż, że wkrótce powstanie czwarte kolumbarium na komunalnych cmentarzach nad Brdą.

Tym razem chodzi o cmentarz na Jachcicach, na którym swoista ściana płaczu miała powstać już dwa lata temu. Nie powstała jednak, bo przedwcześnie kopnęła w kalendarz

firma, która miała wznieść kolumbarium z 756 niszami na urny z prochami. Urzędnicy reklamują tę formę pochówku jako „najefektywniejsze wykorzystanie pól grzebalnych”. Brzmi to wprawdzie upiornie, niczym wyimek z raportu Adolfa Eichmanna dla Adolfa Hitlera, ale co prawda, to prawda.

Nie bez znaczenia są też koszty ponoszone przez nieutulone w żalu rodziny zmarłych. Tak się składa, że jestem świeżo po inwestycji w granitowy nagrobek dla teściów. Gustowny, lecz nieduży i bez żadnych zdobniczych szaleństw,

szeroki na 90 cm pomniczek kosztował mnie blisko 15 000 zł. Natomiast koszt wykupu nisy w bydgoskim kolumbarium to raptem 540 zł plus 1080 zł za każdy pochówek. I choć trwają już prace nad nowymi, zapewne wyższymi stawkami za te usługi, to i tak cena nisy w kolumbarium na pewno pozostanie o niebo niższa od ceny najtańszego nawet nagrobka.

Inna sprawa to intymność na cmentarzu. Wiadomo, że na z reguły przepełnionych miejskich nekropoliach trudno dziś o luksus dyskretnego opła-

kiwania zmarłych. Wszystko ma jednak swoje granice, nawet ekonomika pól grzebalnych. Przechadzałem się parę dni temu obok największego zespołu kolumbariów w Bydgoszczy - na cmentarzu przy ulicy Wiślanej. Znajdują się tam aż 2032 nisz, wmurowane w 8 kolumbariach. Krokami wymierzyłem długość kolumbarium. Wyszło około 12 metrów. W takiej ścianie zmieszczono 69 nisz. I naprzeciwnie, w odległości około 2 metrów - kolejna ścianka z 69 niszami. Razem 138. W tym kontekście na niezamierzoną

zapewne ironię zakrawa inskrypcja na jednej z tablic przy niszach: „Najdroższy tatusiu i mężu życzymy Tobie, abyś miał w niebie mnóstwo miejsca na rozłożenie swoich skrzydeł”.

Chodziłem wzdłuż kolumbariów w dzień powszedni, w południe. Byłem jedynym żywym człowiekiem w tym miejscu. Ciekaw jednak jestem, ilu żywych na raz może pomieścić ten korytarz 1 listopada.

Czesław Niemen w znanym songu pod tytułem „Człowiek jam niewdzięczny” śpiewa: „Wstyd mi za tych, co nie mają

wstydu, zapomnieli, że u kresu groby nas zrównają”. Jak łatwo zauważyć, nie jest to pełna prawda. O jakieś 150 metrów od labiryntu z niszami rozciąga się bydgoska „aleja zasłużonych”, czy raczej „aleja dorobionych” ze stosunkowo luźno posadowionymi ogromnymi nagrobkami, wartymi minimum 50 000 zł każdy.

Jeszcze jedna rzecz znieśmaczyła mnie na największym bydgoskim cmentarzu. Od północnej jego strony nowe groby wytycza się obecnie na pustej przestrzeni, porośniętej jedynie rzadką trawą. A wąskie smużki cienia na mogiły rzucają tam nie drzewa, lecz... metalowe słupy i przewody linii średniego napięcia, przecinającej cmentarz aż do jego ogrodzenia. O ile jestem jeszcze w stanie zrozumieć argument o jak najefektywniejszym wykorzystaniu pól grzebalnych, stojący za decyzjami o rozbudowie kolumbariów, o tyle nie, moim zdaniem, nie usprawiedliwia obojętności wobec pochówków na gołej ziemi pod słupami energetycznymi. Do dnia Sądu Ostatecznego stalowe słupy pewnie zeżre korozja, ale czasu tego mogą nie doczekać ci, którzy dziś przychodzą na Wiślaną pochylić głowę nad mogiłą bliskich. Miałoby to być dla nich trochę zrozumienia i uszanowania? ©



Energetyka na drodze do wieczności - północna strona cmentarza przy Wiślanej

FOT. JAROSŁAW RESZKA



Ryszard Tadeusiewicz, profesor AGH

JAK SZYBKROŚNIE LICZBA LUDZI

Jednym z problemów współczesnego świata jest niezwykle szybko rosnąca liczba ludzi. Nie dotyczy to Polski, bo po okresach dwóch powojennych wyżów demograficznych (pierwszy w okolicy 1955 roku, a drugi w okolicy 1983 roku), kiedy rocznie rodziło się blisko 800 tysięcy nowych Polek i Polaków - weszliśmy w lata 2000 w okres niżu demograficznego, gdy więcej ludzi umierało, niż się rodziło. Ten proces w Polsce jest odwrotny w stosunku do procesów, jakie obserwujemy w krajach Trzeciego Świata - głównie w Afryce. Tam rodzi się bardzo dużo dzieci, w związku z czym oblicza się, że ludność świata przyrasta w tempie 2 nowych ludzi na sekundę. Największy przyrost na-

turalny ma Niger, zaraz po nim lokują się swoją demografią Angola, Uganda, Kongo, Mali, Burundi, Gambia, Czad, Somalia.

Afryka!

Głównie ta najbiedniejsza...

To zjawisko stosunkowo nowe. Na początku naszej ery (w roku zerowym, związanym z hipotetyczną datą narodzin Chrystusa) na świecie żyło - jak szacują historycy - około 190 mln ludzi. Sięgając do starożytności, możemy przyjąć, że w roku 4000 p.n.e. łączna populacja ludzi wynosiła 28 mln. Szacuje się, że w 2000 roku p.n.e. na całej Ziemi było 72 mln ludzi. Potem - jak wspominałem - na początku naszej ery było mniej niż 200 mln ludzi i przez wiele lat ta liczba istotnie

się nie zmieniała, bo ludzkość ulegała ograniczeniom na skutek epidemii, wojen i głodu.

Ta stabilna sytuacja przechylała się w kierunku dynamicznego wzrostu na początku XIX wieku. Przypuszcza się, że ludność całej Ziemi przekroczyła próg miliarda w 1804 roku. W 1927 roku było nas już dwa miliardy, w 1960 roku przekroczono próg 3 miliardów, w 1974 - 4 miliardów, w 1987 roku 5, w 2011 osiągnęliśmy 7 miliardów, a dokładnie 15.11.2022 przekroczono 8 miliardów (jeśli tworzone w tym czasie powszechne ewidencje są dokładne i konkretne).

Jeśli ta dynamika utrzyma się, to w 2037 roku osiągniemy 9 mld, a w 2080 roku przekroczymy 10 mld! Być może ten trend wzrostowy zostanie w naturalny sposób wyhamowany. Jednym z głównych czynników jest duża śmiertelność w krajach o najwyższym przyroście naturalnym. Jednak Nigeria w 1990 roku miała 95 mln mieszkańców, a w 2050 roku będzie tam ponad 400 mln mieszkańców. Więcej niż w USA!

Natomiast w Europie (traktowanej jako całość) od 30 lat wystawia się więcej aktów zgonu niż aktów urodzenia. Częściowo kompensuje ten trend duża imigracja - legalna i nielegalna. Ale spadek sumarycznej liczby mieszkańców, już teraz obserwowany, będzie się

nasilał. W takich krajach jak Bułgaria, Litwa, Łotwa i Serbia do 2050 roku nastąpi spadek liczby ludności o przynajmniej 20%. Ubędzie co piąty obywatel!

Niemcy dzięki napływowi imigrantów mają obecnie 83 mln obywateli, ale do 2050 będzie ich najwyżej 80 mln. Włosi stracą w tym czasie co najmniej 10% swej obecnej ludności.

Procesy malenia populacji nie są tylko domeną Europy. Wprawdzie ludność Chin w 1981 roku przekroczyła miliard mieszkańców, a obecnie Chińczyków jest blisko 1,5 miliarda. Ale Chiny zderzyły się ze skutkami wprowadzonej przez Mao polityki jednego dziecka w rodzinie. Dążono wtedy do tego, by rodzili się chłopcy, więc teraz nie ma Chinek, żeby rodziły kolejne pokolenia. No i Chiny się wyludniają. To zahamuje ich szybki wzrost gospodarczy, który podziwiał cały świat. Natomiast na szczycie tabeli prognoz demograficznych ONZ trafiały Indie. To będzie w Azji prawdziwa rewolucja. W 2050 roku w Indiach będzie żyło 1,6 mld ludzi, podczas gdy w Chinach 1,3 mld.

Na świecie już teraz jest czterokrotnie więcej ludzi, niż Ziemia może wykarmić. Metody intensyfikacji produkcji rolnej tymczasowo pozwalają zapobiegać głębszemu głodu. Ale na jak długo - skoro ludzie stale przybywa?

ZDJĘCIE TYGODNIA



4 października mieszkańcy Bydgoszczy mogli zwiedzić nowy - prezentujący się imponująco - kampus Akademii Muzycznej. Miejsce to przyciągnęło tłumy zwiedzających

FOT. ARKADIUSZ WOJASIEWICZ

S p r a w a n a j w y ż s z e j w a g i



GRZYBOBRANIE. NARODOWY SPORT POLAKÓW

Z lasów każdego roku wynosimy 100 tysięcy ton podgrzybków, kozaków, borowików, kurek, maślaków. Zbieramy grzyby dla samych grzybów, dla zdrowia, dla kontaktu z naturą, czasami chcemy się po prostu wyciszyć i odstresować. Potem nasze zbiory smażymy, mrozimy, marynujemy, suszymy. I znowu ruszamy do lasu, by pielęgnować pasję zbieractwa

Dorota Kowalska

Coroku jest to samo. Zbliża się wrzesień, Jacek, pięćdziesięciolatek, zaczyna nerwowo przestępować z nogi na nogę. Zerkna na Facebooka, śledzi serwisy informacyjne, buszuje po sieci. Coś sprawdza.

- Zgadnij, co? - pyta Marta, żona.

- Pojęcia nie mam! - przyznaje.

- Sprawdza, czy już pokazały się grzyby - wybucha śmiechem.

Kiedy się pokażą, Jacek mógłby wygrać konkurs na najlepszego męża świata. Wyprzedza myśli Marty. Sprząta, robi zakupy, odbiera dzieci ze szkoły. Wszystko po to, aby w piątek wieczorem zapytać: „To może jutro rano skoczę na grzyby?”.

- Nie chodzi na spacer, nie chodzi do siłowni, nie uprawia sportu. Mówię mu przynajmniej raz w tygodniu, że musi zrzucić trochę brzucha. „Tak, tak” - obiecuje i na tym się kończy. Pokażą się grzyby, biega pięć godzin po lesie, a potem przyjeżdża do domu i pęka z dumy. „Zrobiłem 14 tysięcy kroków” - woła od progu, że niby tak dba o kondycję - opowiada Marta.

I przyznaje, że roboty przy grzybach nie ma. Jacek sam wszystko obiera, część grzybów suszy, czasem marynuje, częściej mrozi, czasami zanoszą sąsiadom.

Ale w tym roku Jacek jest jakiś nieswój. Nie wie, co robić. Zaczęła już sprzątać, czy jeszcze czekać? Raz piszą, że w lasach pusto, innym razem, że zaczęły się prawdziwe grzybowe wysyp.

Zostaje telefon do eksperta. To są grzyby czy ich nie ma?

- To zależy, gdzie - odpowiada Janusz Piechociński, były wiceprezes Rady Ministrów, minister gospodarki, były prezes PSL i zapalony grzybiarz.

Tam, gdzie była susza grzybów nie ma, tam gdzie lało - są. Ale bywają takie regiony w Polsce, choćby pod Warszawą, gdzie

grzybni najzwyczajniej w świecie zdążyła się zakonserwować. Mało padało w tym roku, mało w zeszłym, mało dwa lata temu. I teraz nawet jeśli spadnie na nią deszcz, trzeba czasu, żeby się odrodziła.

- Poziom wód gruntowych jest bardzo niski. Poza tym, dzisiaj deszcze są intensywne, ale krótkotrwałe, a to grzybni nie służy - tłumaczy ekspert Piechociński.

I dodaje, że w tym roku grzyby pokazały się miesiąc temu. Wtedy były rekordowe zbiory, oczywiście nie wszędzie. Ale on pod Starym Sączem zbierał kosze borowików i dostrzegł, że zaczynają pojawiać się prawdziwki. Dwa tygodnie temu pod Tarczynem zebrał ich 17,5 kilograma. Ale przyszły przymrozki i w sobotę spod Wyżkowa przywiózł ledwie koszycek grzybów.

Dla podtrzymania tradycji

Janusz Piechociński pasję zbieractwa oddziedziczył po mamie. Ta, jak mówi, zbierała grzyby z sukcesami. Sąsiedzi biegli do Puszczy Kozienickiej, w okolicy której mieszkali, z samego rana. Ona po szkole, potem po pracy spokojnie brała koszyk w rękę i ruszała w las. Wracając, uśmiechała się już od praga.

- I tak to się u mnie zaczęło. Nie mam czasu jeździć gdzieś daleko, więc zbieram grzyby w okolicach Celestynowa czy Piaseczna - opowiada Piechociński. Chodzi w tak zwane swoje miejsce, rano, w sportowym dresie. Wchodzi w kępy brzoźek, w zarośla i szuka. Kiedyś po takiej porannej wyprawie spotkała go jakaś kobieta. „Ale ja pana widziałam wczoraj rano, latał pan jak wariat z wiaderkiem między drzewami” - zagadała ze śmiechem.

Najważniejsze, żeby wiedzieć, gdzie latać. Grzyby rosną



Blisko połowa zbieraczy traktuje grzybobranie jako sposób na wyciszenie i odpoczynek psychiczny, a 32 procent podtrzymuje w ten sposób rodzinną tradycję

w określonych miejscach, dlatego w nowy las trzeba zawsze wejść z jakimś tubylcem. Taki wie, gdzie szukać grzybów. On nie lubi zbiorowych grzybobrań, tych krzyków: „Mam! Znalazłam! Ale piękny!”. Ale czasami zdarza mu się pójść w zarośla z przyjaciółmi czy znajomymi. Bywa, że celowo omija jakiegoś grzyba, żeby potem usłyszeć: „Piechociński nie zauważył, a ja znalazłem!”.

Rekord grzybobrania to było 86 kilogramów surowego prawdziwka zebranego pod Bielskiem Podlaskim. Nic nie zapowiadało takiego sukcesu. Była susza, chociaż kilka dni wcześniej przeszły nad tym terenem burze. Wziął 20-litrowe wiaderko i poszedł w las. W starym, sosnowym, niewiele znalazł, więc może przy torfowisku? Kilka szarych kozłarzy. Dalej był zagajnik sosnowo-brzozowy. A tam same prawdziwki. Wracał w to miejsce

z cztery razy. Miał tyle grzybów, że pakował do wiaderka same kapelusze, bo szkoda było miejsca na nożki.

Dzisiaj grzyby rozdaje - surowe, świeżo zebrane. Kiedyś robił znajomym prezenty w postaci słoiczków z grzybami marynowanymi, ale, jak przyznaje, żona się zbuntowała. „Moje ręce, moje paznokcie, moje słoiki, mój czas i moja cierpliwość. Basta!”. Musiał jej wcześniej grzyby obrać, przygotować, ale i tak miała dość. Dziś obdarowywani sami muszą grzyby obrabiać.

- Najbardziej lubię pierogi z kapustą i grzybami, rydze z patelni, które zawsze przyrządzam z przyjacielem. Lubię zbierać grzyby, ale mówiąc szczerze, wielkim fanem grzybowych dań nie jestem - przyznaje wiceminister.

Mimo tego, chodzi i zbiera. A czasami człowiek przemierzy wiele kilometrów, umorduje się

i nic, nawet małego maślaka, o prawdziwku nie mówiąc.

- Czemu ludzi ciągnie do lasu? Co takiego jest w tym zbieraniu grzybów? - dopytuje.

- A dlaczego mój szwagier potrafi przesiedzieć nad Wisłą 16 godzin, wrócić do domu przemierzony i opowiadać, że miał cztery brania? - wzrusza ramionami Piechociński. - Pasja i tyle - dodaje.

Chociaż przyznaje, że zbieranie grzybów to jedyna czynność, przy której tak się koncentruje, tak skupia na szukaniu, że nie myśli o niczym innym. Kiedy był ministrem, biegł do lasu przed godziną piątą, bo przed godz. 7.00 czekała już na niego ochrona.

- Najgorsze chwile przeżywałem wtedy, kiedy wiedziałem, że są grzyby, a byłem służbowo w jakiejś innej części Polski. Miałem wtedy świadomość, że mój rywal w zbieraniu, pewien eme-

ryt, wybiera mi wszystkie grzyby - śmieje się były minister gospodarki. W tym roku też biega po zagajnikach. Szuka.

Dla grzybów i kontaktu z naturą

Mówi się, że chodzenie na grzyby to sport narodowy Polaków. Ale też, według Lasów Państwowych, co roku grzybiarze zbierają łącznie około 100 tys. ton grzybów. W ostatnim czasie portal Rankomat.pl przeprowadził badanie, które pokazało, że 38 proc. z nas nie chodzi po lasach w poszukiwaniu prawdziwków, borowików czy maślaków - 62 proc. Polaków deklaruje, że zbiera grzyby.

Ci, którzy wybierają się na grzybobranie, robią to przede wszystkim dla samych grzybów - tak odpowiedziało 68 proc. ankietowanych. Dla wielu jest to także okazja do kontaktu z naturą (64 proc.) i spędzenia czasu na świeżym powietrzu (54 proc.). Blisko połowa zbieraczy traktuje grzybobranie jako sposób na wyciszenie i odpoczynek psychiczny, a 32 proc. podtrzymuje w ten sposób rodzinną tradycję. Tylko 5 proc. osób przyznaje, że grzybobranie jest dla nich źródłem zarobku.

Ci, którzy grzybów nie zbierają, boją się zjedzenia trujących okazów - taki powód niechodzenia do lasu podało 37 proc. osób; 21 proc. przyznało wprost, że boi się zatrucia, a 25 proc. nie cierpi papająków i kleszczy.

Jeszcze inni boją się zgubienia w lesie, spotkania dzikich zwierząt, postrzelenia przez myśliwych. 3 proc. ankietowanych nie chce pobrudzić lub zniszczyć ubrania.

Z kolei w badaniu agencji SW Research dla „Wprost” 21,2 proc. osób stwierdziło, że często zbiera w sezonie grzyby, 50,2 proc. zbiera je czasami, a 28,6 respondentów twierdzi, że za grzybami po lasach nie biega.

Może nie wszyscy o tym wiedzą, ale nie wszędzie grzyby są tak dostępne, jak w Polsce. W wielu krajach obowiązują ograniczenia w ich zbieraniu. Zbiór wymaga płatnej licencji, bez której grożą surowe kary finansowe.

I tu Polacy stanęli murem za grzybiarzami, bo opinie na temat tego typu przepisów są podobne – niezależnie od tego, czy ktoś grzyby zbiera, czy nie. Uczestnicy badania przeprowadzonego przez Ogólnopolski Panel Badawczy Ariadna dla Wirtualnej Polski w zdecydowanej większości (84 proc. badanych) są przeciwni wprowadzeniu ograniczeń wagowych zbierania grzybów na własny użytek. W tym ponad połowa respondentów (54 proc.) jest „zdecydowanie” pewna, że nie wolno ograniczać polskich grzybiarzy, a 30 proc. uznaje, że „raczej” nie powinno się określać granicy wagowej zbiorów.

Tylko 9 proc. respondentów uznaje, że konieczne są regulacje w tej kwestii. 7 proc. badanych nie ma zdania na ten temat.

Dla bigosu i bitek

Wojciech Kowalczyk to były świetny piłkarz, reprezentant Polski, srebrny medalista olimpijski z Barcelony, a dzisiaj, po zakończeniu sportowej kariery, ekspert piłkarski.

– Byłem świetnym piłkarzem, teraz jestem świetnym grzybiarzem – śmieje się na początku naszej rozmowy.

Właśnie, bo Kowalczyk słynie w sportowym środowisku z zamiłowania do zbierania grzybów. On też, jak Janusz Piechociński, po lasach biegał od dzieciaka. – Mój wuj był sołtysiem w małej wiosce Koziołek koło Warki. W czasie wakacji jeździliśmy tam całą rodziną i razem z dziadkiem czy tatą chodziliśmy po lasach – wspomina.

Wuj, sołtys, miał wszystko: truskawki, ogórki, owoce, ale oni szukali grzybów.

– Nauczyłem się wtedy dwóch rzeczy: spać w stodole na sianie i zbierać grzyby. W stodole na sianie spało się dlatego, żeby rano, wychodząc do lasu, nie zbudzić domowników – tłumaczy Kowalczyk.

W tym roku był już kilka razy na grzybach, trochę nazbierał, ale szalu nie ma. Nie było deszczu, sucho. Jak każdy grzybiarz ma swoje ulubione miejsca.

– W lipcu i sierpniu grzybów nie zbieram, są najczęściej robaczywe. Dla mnie sezon zaczyna się we wrześniu – mówi.

Najczęściej jeździ w okolice Przasnysza i Szczytna, bo ponoć nigdzie nie ma takich lasów. Tam zbiera pierwsze, najlepsze grzyby, głównie prawdziwki. Ale są też Warka, Wilga, Grabów nad Pilicą.

Jego rekord? W Wielbarku, jakieś 15 lat temu, zebrał dwa kosze czerwonych kozaków. Żadnego innego grzyba – same czerwone kozaki.



Prawdziwek, czyli borowik szlachetny, to najbardziej pożądany grzyb w polskich lasach. Ale są też miłośnicy rydzów, kurek czy maślaków

Wyjeżdża na grzyby bardzo wcześniej, właściwie wchodzi do lasu, kiedy świta. Śmieje się z kolegami, że muszą uprzedzić miejscowych kolarzy.

– A kto to taki? – dopytuje.

– Miejscowi, którzy jeżdżą na rowerach i zbierają przy drodze najlepsze okazy – tłumaczy. – Więc wjeżdżam wcześniej, bo raz, że nie ma wtedy korków, a dwa, włącza mi się duch rywalizacji – dodaje.

Ale przed wejściem do lasu zawsze zapali papierosa, zje kanapkę, napije się ciepłej herbaty czy kawy z termosu i dopiero wtedy rusza w zarośla.

– Czemu Polacy tak lubią zbierać grzyby? – pytam.

– Myślę, że z wielu powodów, ale nie bez znaczenia jest tu polska kuchnia, w niej bez suszonych grzybów ani rusz – tak odpowiada. W każdym razie on nie wyobraża sobie bigosu czy wołowych bitek bez grzybków.

Jest fanem tych suszonych, ale niektóre marynuje, część przegotowuje i mrozi. Stoiczki z marynowanymi kapeluszami rozdaje sąsiadom.

– Dla mnie najważniejsze jest chyba samo chodzenie po lesie, kontakt z naturą. Grzyby to taki dodatkowy bonus – mówi.

Dla zdrowia i wyciszenia

Lekarze i psychologowie są zgodni: ruszać do lasu! Zbieranie grzybów dobrze wpływa na nas i nasze samopoczucie. Spacerowanie po lesie, schylanie się po grzyby wzmacnia nasz układ krążenia. Kontakt z naturą, zapach lasu uspokaja, obniża ciśnienie krwi i poziom stresu.

– Żyjemy w rzeczywistości, w której panuje szum informacyjny, jesteśmy przebudzowani, a grzybobranie to taka

ucieczka od codzienności, forma odreagowania. Znacznie lepsza niż butelka wina wypita wieczorem – mówiła mi swego czasu psycholog Maria Rotkiel.

Poza tym, w każdym z nas siedzi gdzieś głęboko atawistyczny instynkt zbieracza. Ludzie zawsze zbierali jedzenie, bo to daje im poczucie bezpieczeństwa. Kiedy zbieramy grzyby ze znajomymi, czasami licytujemy się, więc jest w tym wszystkim także element rywalizacji, ale to nie on dominuje.

– Myślę, że zbieranie grzybów jest dzisiaj tak modne, bo jest formą wyciszenia, podczas którego na dodatek obcujemy z naturą. Sama uwielbiam chodzić na grzyby – przyznała Rotkiel.

Tym bardziej że grzyby po prostu są. Występują we wszystkich strefach klimatycznych, przede wszystkim na łąkach, ale także w wodach – i tych słodkich, i tych słonych. Do tej pory opisano około 70 tysięcy gatunków grzybów, ale ta liczba może być większa. Jak można wyczytać w Wikipedii, pierwszy grzybami zainteresował się Teofrast – grecki uczony, filozof, uczeń i przyjaciel Arystotelesa, który zaliczył je do roślin pozbawionych korzeni. Nie potrafił więc określić sposobu, w jaki się żywią. W epoce rzymskiej badania nad grzybami nie posunęły się naprzód. Rzymianie szczególnie znaczenie przypisywali trufiom. Wierzyli, że te powstają od uderzeń błyskawic, które przekazują im moc niezbędną do kreacji życia – stąd trufle były stosowane jako środek wspomagający zajście w ciążę. Kult grzybów powszechny był wśród Majów i Azteków, z kolei w Indiach grzyby uważano za symbol płodności. Po raz pierwszy

zarodniki grzybów zaobserwował w 1588 roku włoski uczony, wynalazca, lekarz i literat Giambattista della Porta, ale przez kolejne dwieście lat wciąż dominował pogląd o spontanicznym powstawaniu grzybów. W XVII, XVIII i XIX wieku zainteresowanie grzybami rosło – wielu badaczy systematycznie opisywało kolejne odkryte ich gatunki, często zresztą jeden gatunek pojawiał się kilkakrotnie pod różnymi nazwami. Dopiero Pier Andrea Saccardo, włoski mykolog i botanik, dokonał klasyfikacji grzybów, porządkując wszystko to, o czym donosili jego poprzednicy.

Wspomniany już wyżej Janusz Piechociński napisał na Twitterze: „W polskich lasach występuje 1,4 tys. gatunków grzybów jadalnych, choć tylko 47 z nich jest dopuszczonych do obrotu produkcji przetworów grzybnych. Przeciętny Polak rozpoznaje 15 gatunków grzybów, a wytrawny grzybiarz około 40 gatunków”.

Dla bycia razem

Anna Wyszykowska mówi, że rozpoznaje z 20 gatunków, ale od dziecka jeździła z rodzicami na grzybobrania. Przychodziło późne lato, jesień – w sobotę pakowali się w czworkę do starego, wysłużonego „malucha” (oprócz rodziców jeszcze brat) i jechali do lasu.

– To był swego rodzaju rytuał. Jeździliśmy w jurę krakowsko-częstochowską. Tata miał tam swoje ulubione miejsca, zawsze pełne grzybów. Wyruszaliśmy bladym świtem, wracaliśmy na obiad, który mama zawsze przygotowywała dzień wcześniej – opowiada Anna, dzisiaj bizneswomen.

Pamięta, że w lesie mieli trzymać się rodziców, chociaż zdarzało im się zgubić; na szczęście całą czwórką, tata zawsze jednak znajdował wtedy drogę powrotną. Nauczył ją, że trzeba szukać słupów z liniami wysokiego napięcia, bo one doprowadzą człowieka do drogi albo jakiejś miejscowości.

– To były wspaniałe wyprawy. Lubiliśmy je z bratem. Poznaliśmy grzyby, zresztą te zebrane przez nas zawsze przeglądali rodzice. Podczas tych wypraw sporo rozmawialiśmy ze sobą. Tata opowiadał nam o drzewach, przyrodzie, to były niesamowite lekcje biologii – wspomina Anna. Pamięta radość z każdego znalezionego grzyba, te kapelusze wystające z mchu, śpiew ptaków. I powroty do domu. Byli zmęczeni, ale szczęśliwi. Mama obierała potem te grzyby godzinami. Część suszyła, ale robiła też słoiki. Nos wykrecało, bo po całym domu niósł się wtedy zapach octu, którego do dziś nienawidzi.

– Na studiach jakoś przeszła mi pasja zbierania grzybów, ale kiedy założyłam własną rodzinę, z przyjemnością do starych nawyków wróciłam. Na szczęście mąż też uwielbia wycieczki po lesie – śmieje się. Jeżdżą na grzyby od września, w każdy weekend, jeśli nie wyskoczy coś nieprzewidzianego. Uwielbiają to. Postanowiła połączyć rodzinne grzybobrania z piknikami. Zawsze bierze do samochodu jakieś smakołyki, koc, zawsze robią sobie w lesie dłuższą przerwę, żeby posiedzieć i pogadać.

– Niezwykle dużo dają mi te nasze grzybowe wyprawy. Bardzo ciężko z mężem pracujemy, dzieci oprócz szkoły mają sporo

dodatkowych zajęć. A to jest czas, który spędzamy razem. Poza tym, wyłączam wtedy głowę. Nie myślę o papierach, kontrahentach, o problemach, po prostu wypatruję prawdziwków, podgrzybków, maślaków – wylicza. No i jest wśród natury, gdyż ogródek przed domem to zdecydowanie nie to samo.

Dla bezpieczeństwa

Fachowcy radzą jednak, aby nie popadać w amok grzybobrania.

– Jeżeli nie znamy grzybów, to ich nie zbieramy, bo tak jest dla nas bezpieczniejsze, ponieważ grzyby jadalne mają swoje odpowiedniki, które są trujące. W związku z tym lepiej nie popełnić błędu i zbierać te, których jesteśmy pewni – mówił w rozmowie z TVN24 Paweł Bukowski z Nadleśnictwa Kolbudy w województwie pomorskim.

W razie wątpliwości można udać się do Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej. – Można skorzystać jeszcze z różnych pomocy naukowych czy też z aplikacji, atlasów grzybowych czy też z wydań papierowych atlasów, a być może z porady osób starszych, które już dłużej są na grzybach i mają większą wiedzę od nas. A jeśli rzeczywiście chcemy poznać nowego grzyba, nic nie stoi na przeszkodzie, żeby go dostarczyć do stacji sanitarno-epidemiologicznej, podpytać fachowców. Tam nam powiedzą więcej – tłumaczył leśnik.

Początkujący grzybiarze powinni raczej zbierać grzyby rurkowe niż blaszkowe. Jeśli jednak po ich spożyciu poczujemy się źle – będziemy mieli nudności, wymioty, gorączkę – trzeba niezwłocznie zgłosić się do lekarza.

Kolejna sprawa: rozeznanie terenu. Przed samym rozpoczęciem zbierania grzybów zorientujemy się, w jakim miejscu jesteśmy, skąd przyszliśmy. Obserwujemy Słońce, jeśli jest widoczne, i teren, po którym się poruszamy. W lesie są linie oddziałowe, drogi, kamienie graniczne czy słupy energetyczne, często ponumerowane. One mogą posłużyć za punkty odniesienia.

I wreszcie – zabezpieczmy się przed kleszczami.

Jacek w końcu zapełnił lodówkę, wyszorował podłogi i w sobotę pojechał na grzyby. Ruszył pod Siedlce. Zna te lasy. W niedzielę chwycił koszyk i pognął do zagajnika za domem. Zbiór może nie powalał z nóg, ale zrobił przepyszny sos z maślaków i dwa słoiczki marynowanych podgrzybków.

– Niech jeździ! – pacha ręką Marta. I wylicza plusy: trochę pochodził po lesie, był na świeżym powietrzu, odstresował się, wyciszył, a te kilka tysięcy kroków też mu wyjdzie na zdrowie. I będzie miał o czym gadać z kolegami, bo wszyscy to zapaleni grzybiarze.

Nie będzie łatwo. Jest duży opór gmin turystycznych przed zmianami - mówi Iwona Hartwich (KO), posłanka z Torunia. Taką refleksję ma po pierwszych kontaktach z władzami samorządowymi gmin, do których pod koniec sierpnia wystosowała list otwarty. Otwarte w pewnym stopniu są te władze, które zaprosiły na rozmowy. Oporu można się spodziewać tam, gdzie jest brak reakcji albo pojawia się odpowiedź: „nie da się tak od razu”.

Hartwich w swoim liście adresowanym do wszystkich gmin turystycznych w Polsce zaapelowała o trzy podstawowe sprawy. Po pierwsze, o zapewnienie w każdej miejscowości nadmorskiej i w każdym dużym kurorcie turystycznym co najmniej jednego w pełni dostępnego wejścia do wody osobie poruszającej się na wózku inwalidzkim.

Po drugie, o uwzględnienie potrzeb osób z niepełnosprawnościami w planach zagospodarowania przestrzennego i inwestycjach turystycznych. Trzecim postulatem natomiast jest wykorzystanie opłat klimatycznych oraz funduszy unijnych na likwidację barier architektonicznych w miejscach wypoczynku.

- Zapewnienie dostępu do plaży czy kąpieliska osobom z niepełnosprawnościami nie jest łaską. To obowiązek wobec obywateli - podsumowała posłanka z Torunia. I po apelu ruszyła do pracy - na spotkania z poszczególnymi samorządami. Była już w kilku miejscach nad morzem, planuje kolejne spotkania.

Nie byłoby apelu posłanki i rozpoczętej kampanii, gdyby nie liczne sygnały, które dostawała przez całe wakacje. Zresztą, kolejne już takie. Sama jest matką niepełnosprawnego Jakuba, poruszającego się na wózku. Od lat walczy o poprawę sytuacji osób z niepełnosprawnościami i ich opiekunów. Wie, na co się teraz porzywa, ale jeśli nie dziś, to kiedy?!

A tymczasem niepełnosprawni i ich opiekunowie ślą kolejne zgłoszenia i skargi. Wyłania się z nich obraz kraju, w którym traktowani są jak obywatele drugiej kategorii. „Może dlatego, że za mało się na nas zarabia” - konstatują smutno niektórzy.

„Jestem w sanatorium w Kołobrzegu. Spacer nad morzem niemożliwy”

Wrzesień. „Jestem w sanatorium w Kołobrzegu. Niestety, spacer nad samym morzem niemożliwy. Nie ma jak wózkiem zjechać” - daje znać posłance Aneta.

W mediach społecznościowych reakcja natychmiastowa.

O GODNOŚĆ NA WAKACJACH. NIEPEŁNOSPRAWNI JAK TURYSŤCI DRUGIEJ KATEGORII

Brak zjazdu nad morze czy jezioro, niedostępne toalety, nieczynne windy i podnośniki, za wysokie krawężniki - to tylko początek długiej listy barier. Osoby niepełnosprawne wciąż są w Polsce turystami drugiej kategorii. Czy kampania podjęta przez posłankę Iwonę Hartwich to zmieni? Czy następne wakacje będą lepsze?

Małgorzata Oberlan



Czas skończyć z barierami na polskich plażach!

FOT. FACEBOOK/IWONA HARTWICH

Posłanka Iwona Hartwich z Torunia (KO), mama niepełnosprawnego Jakuba i aktywna działaczka na rzecz poprawy sytuacji osób niepełnosprawnych i ich opiekunów wystosowała list otwarty do władz wszystkich gmin turystycznych w Polsce. Podjęła walkę o dostępność infrastruktury dla niepełnosprawnych - zaczęła cykl spotkań

„Byłam, potwierdzam” - pisze Romana. „To prawda” - pisze Darek. „Dobrze, że ktoś się za to wziął. Niedostosowane bywają nawet te ośrodki, które teoretycznie mają podpisane umowy z PFRON-em i biorą grubą kasę za turnus. A tymczasem nie mają dostosowań, a rehabilitacja w nich nie spełnia żadnych norm. To są wyjazdy wakacyjne za kasę PFRON-u. Wszyscy o tym wiedzą, a nikt głośno nie mówi” - dorzuca Agata.

Lipiec i sierpień. „Ja z synem (niepełnosprawnym) byłam w Dźwirzynie. Tam również nie ma zejścia dla niepełnosprawnych. Owszem, jest takiego tylko kawałek. Ale co dalej? Byłam w tej sprawie w miejscowym urzędzie. Pani sobie zapisała ten problem i kazała mi jeszcze pisać do Kołobrzegu, bo oni tam podlegają” - relacjonuje pani Ewa.

- Świnoujście, Międzyzdroje, Mrzeżyno, Dźwirzyno, Kołobrzeg, Stegna, Jantar, Kąty Rybackie, Sztutowo, Sopot, Gdynia... Z tych nadmorskich miejscowości tylko Gdynia ma plażę naprawdę dostosowaną dla potrzeb osób z niepełnosprawnościami: z kompleksem zjazdów aż do samego morza, toaletami i przebieralniami przy samej plaży. Pozostałe miejscowości, nawet jeśli coś mają, to są to pseudozjazdy o długości 2-3 metrów. W najlepszym razie jak w Świnoujściu jest kilka zjazdów, nawet z platformami, ale do połowy plaży. Największym rozczarowaniem był dla mnie Kołobrzeg, który mieni się największym uzdrowiskiem w Polsce. Jest wprost naszpikowany barierami” - to opinia innej matki osoby niepełnosprawnej.

„Jest to ogromny problem nad polskim morzem. Przykła-



Iwona Hartwich z synem

FOT. FACEBOOK/IWONA HARTWICH

dem jest Rewal. W kwietniu 2025 roku oddano tam nowe, wygodne zejście z 57 schodami. Ale niedostępne dla osób niepełnosprawnych” - opisuje pani Anna.

Nie chodzi tylko o morze. I nie tylko o osoby na wózkach...

W przywoływanym Trójmieście nie tylko dostęp do morza jest problemem. Wykluczeni w tym turystycznym mieście czują się ludzie z różnymi typami niepełnosprawności i w różnych jego rejonach.

„W przypadku Trójmiasta jest jeszcze jeden aspekt dostępności dla niepełnosprawnych: perony SKM. Mam niewidzącą, dorosłą córkę i całe szczęście, że mój mąż ma jeszcze siłę wziąć ją pod ramiona i przesadzić przez tę przepaść, która ziele między wagonem a peronem - doświadczyliśmy tego w Sopocie i Gdyni. W nowych pociągach też nie ma lekko - wyjście jest o jakieś 20-30 cm niżej niż peron i do tego ta przerwa między stopniem a krawędzią peronu. Być może mieszkańcy Trójmiasta już się z tym pogodzili, ale dla przy-

jezdnych to szok. Jak radzą sobie seniorzy czy osoby z ograniczeniem ruchowym? Nie mam pojęcia” - opisuje matka z Kujawsko-Pomorskiego.

A przecież wakacje to nie tylko morze, ale i jeziora, uzdrowiska, góry, turystyka miejska. I tutaj lista barier i najzwyczajszych upokorzeń jest długa. Po cząwszy od banalnych dla kogoś zdrowego spraw typu dostęp do WC.

„Mój mąż ma urostomię. Pojechaliśmy do Torunia pociągiem i wysiedliśmy na dworcu Toruń Miasto. Tak nam radzono, bo najbliższe starówki. Jest w remoncie. Toalety przyzwyczajony brak, tylko jakaś budka. Chcieliśmy dojść do starówki, ale mąż nie wytrzymał. Woreczek opróżniał w krzakach” - wspomina letnią wycieczkę Beata.

Jakie będą kolejne wakacje? „Są deklaracje”

Historie, relacje, sygnały można by mnożyć. Niedostępność turystyczna w Polsce to skutek długich lat zaniedbań. Niestety, także ostatnich, kiedy to wiele gmin korzystało z unijnych dotacji na rozwój swojej bazy, atrakcji etc. Już na etapie projektowania nowych inwestycji czy modernizacji starych „zapominano” o realnym ich dostosowaniu do potrzeb osób z niepełnosprawnościami. Realnych, bo jakieś podstawowe wymogi jednak się spełnia.

Pierwsze z cyklu spotkań z samorządami gmin turystycznych posłanka Iwona Hartwich odbyła z przedstawicielami Gdańska i Sopotu. Nie była na nim sama. Towarzyszyła jej posłanka Henryka Krzywonos oraz dwie matki niepełnosprawnych dzieci: Marzena Staneiewicz i Maja Iwińska. Jakże refleksje na gorąco?

- Cóż, w Sopocie mamy kładkę do morza jedyną taką całej Polsce. Pod względem dostępności dla osób z niepełnosprawności i komfortu może być wzorem dla każdej miejscowości. I tyle. Ze strony Gdańska plan jest taki, aby powstała chociaż jedna tego typu także u nich. Będzie kolejne spotkanie w tej sprawie, po sprawdzeniu możliwości. Pani prezydent Gdańska ma być ze mną w kontaktach - przekazuje posłanka.

Generalnie, oporne na zmiany gminy turystyczne czy uzdrowiskowe lubią mówić: postulaty słuszne, ale skąd wziąć na to pieniądze? Tutaj odpowiedź posłanki jest jednak natychmiastowa. Po pierwsze, niektóre rozwiązania są proste i niedrogie. Po drugie, gminy pobierają opłaty klimatyczne. Po trzecie zaś - są beneficjentami dotacji z Brukseli także na rozwój turystyki.

- I przynajmniej część tych środków powinna być przeznaczana na likwidację barier - podkreśla konsekwentnie Iwona Hartwich.©©

NIE WCHODZĘ W ROLĘ INKWIZYTORA

O „niemym wole”, sztucznej inteligencji i diabłach na główce szpilki w rozmowie z ks. prof. Piotrem Roszakiem, teologiem z UMK, który jest w czołówce cytowanych naukowców na świecie

Adam Willma

Jesteśmy na świeckiej uczelni. Za oknem gmach Seminarium Duchownego, ale to akurat tutaj znajduje się najlepszy wydział teologii w Polsce. Prześcignęliśmy zarówno KUL, jak i Uniwersytet Papieski. Co za siły nieczyste odwróciły porządk? Mam nadzieję, że żadne [śmiech]. To efekt długiej pracy i jasnego planu. Jeszcze za kierownictwa pierwszego dziekana ks. prof. Jerzego Bagrowicza układ z władzami uczelni był jasny: obowiązki jak wszystkie pozostałe wydziały bez specjalnego traktowania. Do tego badania, które będą miały międzynarodowe przełożenie. Więc od początku poprzeczka była wysoko ustawiona i trzeba było do niej doskoczyć. To było mobilizujące.

**Pamiętam doskonale dyskusje w tamtych czasach: Teologia na uniwersytecie? Nauki pa-
cierza i liczenie zastępów
anielskich wśród poważnych
dziedzin akademickich?**

Myślę, że udało nam się odłamać przez te lata, czym naprawdę jest teologia i jaką wartość ma w życiu pojedynczego człowieka i społeczeństwa. Owszem, prowadzimy badania, które dotyczą historii myśli chrześcijańskiej i zastanawiamy się, dlaczego przyniosła ona owoc w postaci kultury jaką znamy, z wolnością i sprawiedliwością? Przyglądamy się również jak religijność wpływa na dobrostan człowieka, a wiara na jakość życia. Teologia to nie przeszkolenie modlitewne, to nauka o sensie. Zatrudniliśmy kadrę z doświadczeniem na świetnych uczelniach w Hiszpanii, Włoszech, Austrii i Francji. Od początku było wiadomo, że idziemy z nową teologią, która przełamuje schematy dominujące na polskim „rynku teologicznym”. Chcieliśmy zrobić coś rzeczywiście pożytecznego, a jednocześnie światowego, myśleć globalnie, ale działać lokalnie. Dlatego prowadziliśmy badania dotyczące kultury pomorskiej, dziedzictwa religijnego, a jednocześnie stawialiśmy sobie pytania dotyczące człowieka w kontekście najnowszych technologii.

Pewien znajomy pastor mawia, że wydziały teologii najlepiej byłoby pozamykać na cztery spusty. Bo wierzący ludzie, którzy do nich trafiają, wracają albo jako heretycy, albo ateści.



Ksiądz profesor Piotr Roszak

Rozumiem ironiczne przesłanie, ale uważam, że teologia integruje wierzących, a jednocześnie otwiera w nich poznawczą ciekawość. Wiele innych wydziałów uczy dziś „jak” coś zrobić. My pytamy „po co”? Żeby odkryć sens, trzeba mieć poczucie wartości. Nie jesteśmy tu po to, aby podważać zdobycze nauki, ale po to, aby łączyć doświadczenie duchowe z refleksją racjonalną i naukową. Owszem, takie połączenia skutkują niekiedy „eksplozją” - przypadkami teologów, którzy nam „odjeżdżają”. Ale efekt integracji jest znacznie silniejszy. Średniowieczna teologia zawsze szukała całości; nie chodzi o układankę z wygodnie dobranych elementów, tylko o spójność wszystkich elementów. My jesteśmy laboratorium, w którym tej spójności szukamy.

Obliczyliście już w tym laboratorium, ile diabłów mieści się na główce szpilki?

Ha! Ten żart ma solidne korzenie. Chodziło o naturę bytów duchowych. Dziś te pytania wracają na konferencjach w Oxfordzie i Cambridge - choć brzmią inaczej: co znaczy istnieć bez materii? Gdy przejrzyć tytuły konferencji w tych angielskich uczelniach, zobaczymy choćby temat zmarłych wstania - nie tylko w perspektywie historii dogmatu,

lecz jako pytanie: ile rodzajów materii istnieje? Paradoksalnie odkrywamy dziś właściwości materii, które zbliżają nas do intuicji średniowiecza. Pytania są te same, choć stawiane innym językiem. Zmieniamy język, ale problem zostaje.

A może wystarczy poprosić sztuczną inteligencję, żeby przewertowała Stary i Nowy Testament oraz pisma ojców Kościoła i w ciągu paru minut ułożyła wszelkie teologiczne wykładnie?

Przekonujemy się każdego dnia, że sztuczna inteligencja potrzebuje systemu naprowadzającego i nigdy nie będzie obiektywna w tym sensie, że sama z siebie dokona trafnego wyboru. Zawsze zapyta: „Z jakiej perspektywy?”, „Co chcesz uzyskać?”. Jest trochę maszyn do spełniania życzeń: co zechcesz, przygotowuje, spójnie to formatując. Widzimy też niebezpieczeństwa: używanie AI w innych celach niż poznawcze, jak choćby zastępowanie relacji, wpływ na życie rodzinne i społeczne, automatyzm decyzji i związana z tym niejasność, problemy z zaufaniem oraz uzależnienia. Badamy to na naszym wydziale i staramy się pomagać ludziom, wdrażając działania terapeutyczne. Dlatego założyliśmy nawet międzywydziałowe centrum - razem z prawnikami i filozofami -

żeby pomóc lepiej rozumieć technologię i wskazywać model współpracy, który nie zniszczy ludzkiej kreatywności. Zawsze też pytamy, czy to naprawdę inteligencja, czy symulacja inteligencji. Jeśli zbyt szeroko się nią wyręczamy, to bierzemy niejako kredyt, który kiedyś trzeba spłacić.

Mleko się wylało. AI występuje już nawet jako autorka książek z zakresu teologii.

I w pewnym sensie jest teologiem idealnym - ułożył każdemu taką, jaka mu pasuje. Dlatego chcemy powracać do dawnej kultury argumentacji, jak w średniowieczu - wielkich dysput, w których ścierały się racje, a nie emocje. Teologia nie jest ideologią; to poszukiwanie sensu w oparciu o obiektywne odpowiedzi. Jak w gramatyce: bez zasad będzie bełkot. Trzeba bronić „gramatyki” ludzkiego życia i dyskursu.

Gdyby miał ksiądz zabrać na bezludną wyspę jedną książkę teologiczną...

To byłoby komentarze biblijne Tomasza z Akwinu.

Litości, a nie św. Augustyn? Tam przynajmniej „się dzieje”, są „momenty” i zwroty akcji.

Augustyn jest znakomity [śmiech], ale Tomasz integruje wszystkich, którzy byli przed nim, dodaje własną syntezę i wskazuje kierunek. Wziąłbym przewodnik, a nie tylko zapis przeszłości.

Bohaterem talk-show raczej by dziś nie został.

Miał wiele sugerujący przydomek „niemy wół” [śmiech], ponieważ dużo myślał i niewiele mówił. Z wieloma się nie zgadzał, ale pokazywał właściwą drogę i uczył sztuki myślenia: formowania relacji, w których szukamy prawdy - nawet jeśli ta prawda jest u muzułmanów czy Żydów. Rozmawiał z nimi, czasem wbrew nastrojom własnego środowiska.

Łagodnie ksiądz to ujął.

Św. Tomasz był odważny. Fakt, że zaraz po śmierci został potępiony przez biskupa Paryża za rzekome niezgodności z chrześcijaństwem (co potem szybko odwołano), pokazuje, jak wyprzedzał epokę. Nie był „strażnikiem” gaszącym herezję - raczej tym, który mówił: idźmy dalej, skoro rozum jest darem Boga, powinniśmy go słuchać.

Zdarza się księdzu łapać za głowę podczas słuchania kazań?

Niestety, zdarza się. [Śmiech] Ale nie chciałbym nigdy wchodzić w rolę inkwizytora. Rozmawiam po bratersku. Na przykład: modlimy się „za duszę” czy „za człowieka”? Z teologicznego punktu widzenia to niebagatelna różnica. Zła teologia potrafi narobić szkód - szczególnie gdy skupia nas na pobocznych sporach.

Wyniki badań socjologicznych w populacji ludzi wierzących, muszą chyba jeździć teologom włosy na głowie. Pośród ludzi określających się jako wierzący, większość nie wierzy w szatana, piekło...

A czasem nawet w zmartwychwstaniu! Na pierwszym roku studentom często burzy się spokojny świat, w którym wyrosli. Celowo rozbijamy studentowi „uformowanemu w wierze” schematy, uprzedzenia, przyzwyczajenia, również te językowe. To może być dla nich szokujące, bo pewne narzędzia krytyczne, historyczne wprowadzają zamieszanie. Ale też stawiają ważne pytania. Przede wszystkim jednak każą przekraczać granicę popularnych ocen. Dopiero na kolejnych latach ten roztrząskany obraz składamy część po części, na nowo. Staramy się przełamywać przekonanie, że Kościół naucza dogmatów, które zamykają wszelką dyskusję. Mówimy: dogmat to nie mur, ale okno, przez które masz spojrzeć na rzeczywistość. Dogmat to podpowiedź, że ta droga myślenia jest ślepa, nie-którzy już nią szli i wrócili, bo nic na tej drodze nie ma.

Wychodzi ksiądz z tej swojej teologicznej szklanej wieży, a na zewnątrz szara rzeczywistość - Kościół widziany z perspektywy afer, chciwości, zbratania z politykami...

To prawda, ale taka tendencja do uogólnień jest dziś powszechna w życiu społecznym i dotyczy nie tylko Kościoła. Upraszczamy skomplikowane sprawy, żeby łatwiej sobie z nimi radzić. Ale to jest często szkodliwe choćby z tego powodu, że podważanie i wręcz wyśmiewanie systemów wartości, na których wychowały się wszystkie poprzednie pokolenia, przekłada się między innymi na zdrowie psychiczne młodych ludzi. To nie zabawa, mamy ofiary tego podważania

wszystkiego. A to wyprało nas z przekonania, że istnieją obiektywne prawda i dobro. Naszą receptą jest otwarcie się na głosy, które płyną z tradycji, szukanie rozwiązań całościowych, a nie leczenie objawów.

Łatwiej jest bronić Boga niż jego „funkcjonariuszy”?

Pana Boga na szczęście nie musimy bronić, bo potrafi obronić się sam, nie potrzebuje adwokatów. My, jako teologowie, mamy obowiązek udzielania odpowiedzi na pytania, które się rodzą z ludzkiego doświadczenia i poszukiwania sensu. Ale nie możemy się ograniczać tylko do tych ziemskich odpowiedzi. Musimy brać pod uwagę wszystkie głosy, które płyną także z zaskakujących stron, tych nadprzyrodzonych. Rolą teologa jest zachęcanie do rzeczy ważnych i wielkich, patrząc na świat z perspektywy Boga.

Gdyby miał ksiądz do dyspozycji tylko jeden tweet, aby oddać istotę chrześcijańskiej teologii, jak brzmiałoby te 280 znaków.

„Bóg jest miłością i prawdą, a my żyjemy dla czegoś więcej niż to ziemskie życie. Warto więc iść za Chrystusem, który pierwszy tam dotarł. Wierzyć w Boga, to zaufać w ten zaskakujący pomysł Boga”. ©©

CV

Prof. dr hab. Piotr Roszak

Teolog, profesor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu (Wydział Teologiczny) oraz profesor stowarzyszony Uniwersytetu Nawarry w Pampelunie. Członek zwyczajny Papieskiej Akademii św. Tomasza z Akwinu; redaktor naczelny „Scientia et Fides” i dyrektor serii „Scholastica Thoruniensia”. Autor kilku monografii i prac zbiorowych oraz ponad 140 artykułów; wielokrotnie nagradzany. W rankingu Elsevier & Stanford University znalazł się w gronie 2 proc. najczęściej cytowanych naukowców na świecie (2021). Wydział Teologii na UMK, który współtworzy, jest obecnie najwyższej notowany w Polsce (ranking Perspektyw).

Ulica 10 Maja w Głogowie. Ba. Uliczka. 232 metrów długości, 18 numerów, 47 zameldowanych mieszkańców. Tak mówi ostatni raport demograficzny z 21 grudnia 2024 roku.

Po jednej i drugiej stronie domy pamiętające czasy przedwojennego Głogau: wolnostojące, bliźniaki, ale jest też kilka, w których na każdym piętrze mieszka inna rodzina: niekiedy dwie, niekiedy trzy. Domki ładne, zadbane. Każdy z ogrodem. Sporym: trawnikami, drzewami ozdobnymi i owocowymi („Czereśnie są przepyszne – szpaki zlatują się do nich z całej okolicy” – uśmiecha się pani Eugenia Rudkiewicz spod jedenastki, której czereśnia w tym roku bardzo obrodziła).

Ta mała droga łączy spokojniejszą ulicę Fryderyka Chopina, z ruchliwszą ulicą Tadeusza Kościuszki, przy której stoi miejski szpital.

już po przejściu miasta przez Polaków – opowiada Andrzej Ruebenbauer, który przy 10 Maja mieszka od urodzenia, w domu pod numerem pięć.

- Jak to się stało? – dopytuję.
- Nie wiem, ile w tym prawdy, a ile legendy, ale opowiem: działo się to 10 maja, w dniu uroczystym, kiedy burmistrz Hoinka otrzymał symboliczne klucze do miasta od dowódcy wojsk radzieckich, tych wojsk, które wyzwoliły Głogów. Uroczystość była w ruinach Starego Miasta. I burmistrz Hoinka, w dowód wdzięczności, sprowadził z pobliskiej Kotli całą cysternę bimbru, i podarował ją radzieckim żołnierzom. A Ruscy, jak popili, to strzelali na oślep, a na koniec zabawy podpalili ten jeden, nieszczęsny dom na naszej ulicy – wspomina.

Do 1945 roku przy dzisiejszej 10 Maja mieszkali urzędnicy, rzemieślnicy, kupcy.

Niemiecka pościel leżała jeszcze na łóżku

Jednymi z pierwszych, którzy zamieszkali przy 10 Maja, była rodzina Andrzeja Ruebenbauera.

- Odkąd pamiętam, żyliśmy z innymi sąsiadami z ulicy jak w jednej, wielkiej rodzinie – uśmiecha się pan Andrzej.

Był nauczycielem w szkole samochodowej. Ale tylko do sierpnia. Przez wszystkie lata pracy wykształcił w Głogowie setki mechaników – można więc powiedzieć, że każde auto w mieście widziało się kiedyś z jego absolwentem. Ale teraz koniec – zdrowie na dłużej nie pozwala.

Jego rodzice, kiedy wprowadzili się pod piątkę, wspominali, że „jeszcze pościel leżała na łóżkach”. Niemcy zostawili wszystko to, czego nie mogli zabrać: mebli, ale też innych rzeczy codziennego użytku.

sną 1939 roku urodziło się siódme (...) Po drugiej stronie domu mieliśmy duży ogród. Uprawiane były na nim różne warzywa. Była też stajenka dla naszej Kariny (...)

Andrzej Ruebenbauer wspomina: - Mój ojciec – przedwojenny oficer Wojska Polskiego, był z Poznańskiego, ale do Głogowa przyjechał wprost z obozu pracy na Węgrzech, w którym był w czasie wojny. W Głogowie został kierownikiem urzędu, który zajmował się osiedlaniem repatriantów. Miał wykształcenie rolnicze, potem pracował więc aż do śmierci w głogowskiej cukrowni. Mama zajmowała się domem. Ja urodziłem się już tutaj, w Głogowie, i od dziecka mieszkam na 10 Maja. Całe życie tu spędziłem, patrzyłem, jak ta nasza ulica się zmienia. Do lat 70. było tu tak, jak tuż po wojnie. Potem niektórzy starszy sąsiedzi zaczęli umierać, ich dzieci powyjeżdżały, pojawili

sprowadzali się w ostatnich latach starsi ludzie – dla wygody, bo nie ma schodów. Są też nowi sąsiedzi, młodzi, z dziećmi – jak Bogumiła Szlifierz spod trójki (wcześniej przez całe lata w jej domu mieszkał autor książki „Mieszkam koło szpitala...” – Wiesław Maciuszczak).

Ten dzień to wielkie święto sąsiedztwa, dobrego sąsiedztwa

Pani Bogusia zaprasza nas do mieszkania.

- Ostrożnie, na samą górę, niech pan uważa, bo schody stare, drewniane, strome – ostrzega. Siadamy przy kuchennym stole, pani Bogusia parzy herbatę, na paterze lądują trzy rodzaje ciasta.

- Bogusia jest naszą sąsiadką od niedawna. Ze 12 lat. Ale ile ona dla nas i dla ulicy dobrego zrobiła! To ona

tekst *Robert Migdał* Dziennikarz „Gazety Wrocławskiej”, reportażysta, autor wielu książek i wywiadów



JEDNEGO SĄSIADA BRAKUJE. NO ALE ON MA KRASNALE W OGRODZIE I WIELKIE NOŻYCE NA ŚCIANIE, WIĘC Z NIM NIGDY NIE WIADOMO, PEWNIENIE KIEDYŚ SIĘ PRZEŁAMIE

Nie pierwszego, nie trzeciego, ale dziesiątego. Dlaczego?

Ulica 10 Maja. Dziwna nazwa. Skąd się wzięła? Tak to wyjaśnia w swojej książce „Mieszkam koło szpitala...” Wiesław Maciuszczak, historyk, były mieszkaniec tej ulicy: „Zaproponował ją – w 1945 roku – Adam Królak, jeden z nowych mieszkańców Głogowa, bo tego dnia niemiecki Głogau stał się polskim Głogowem. Nazwa jest więc na pamiątkę przekazania władzy cywilnej w mieście polskiemu burmistrzowi”.

A burmistrz Eugeniusz Hoinka zapisał we wspomnieniach: „10 Maja 1945 roku, o godzinie 10.30 w imieniu władz polskich przejąłem miasto wraz z resztą ludności niemieckiej oraz rannymi jeńcami niemieckimi”.

Domy przy wtedy jeszcze Herderstrasse, nazwanej tak na cześć niemieckiego pisarza Johanna Herdera, przetrwały oblężenie Głogowa – Twierdzy Głogów, czyli Festung Głogau – zimą 1945 roku. W większości nienaruszone.

- Jedyne domy na ulicy zostały zniszczone nie w czasie Festung Głogau, ale

„Każdy dom posiadał od ulicy kwietnik, na niektórych posadzono ozdobne drzewa. Potężne modrzewie i świerki rosły do niedawna przed nr 2, 8 i 9, a przed nr 3 – okazała czereśnia. Za budynkami z obu stron urządzono ogrody warzywne. Rosły tam również drzewa i krzewy owocowe. W komórkach i w specjalnych budowlach, hodowane były zwierzęta. Niektóre mieszkania centralnie ogrzewane, inne były ogrzewane piecami kaflowymi. Wszędzie były toalety i łazienki. Doprowadzona energia elektryczna. Nie było tu jeszcze gazu” – czytamy opis niemieckich domostw w czterostronicowym wydawnictwie okolicznościowym zatytułowanym „Wehikuł czasu” (odbitka na ksero, na zwykłym papierze – ale w kolorze. Skarbnica wiedzy – w pigułce – o historii ulicy).

Tuż po tym, jak Głogów stał się polskim miastem, „co odważniejsi osadnicy zaczęli zajmować domki willowe, remontowali je na własną rękę (...) Część budynków oddano do dyspozycji instytucjom i urzędom, by zapewnić mieszkania niezbędnym dla miasta fachowcom” – to kolejny opis ze wspomnianej wyżej broszurki.

- W moim domu mieszkali za Niemca dwaj bracia z żonami i dziećmi. Jeden na górze, drugi na dole. Przedsiębiorcy: jeden z nich miał odlewnię żeliwa i nawet są jeszcze w mieście studzienki ściekowe, na których jest napisane „Głogau” – to on je zrobił. Drugi prowadził fabrykę kafla na piec. Mam piec z tymi kaflami do dzisiaj. Nie zdemontowałem przez tyle lat, bo jest ładny – został tylko na pamiątkę, bo ogrzewanie mam już gazowe – wspomina Ruebenbauer.

Jedną z dawnych mieszanek przedwojennej ulicy 10 Maja, która po latach odwiedziła miejsce swojego dzieciństwa, była Dorotea Voigt de Vara. Przyjechała na spotkanie do swojego Głogau w 2018 roku. I jak pisze w książce „Mieszkam koło szpitala...” Wiesław Maciuszczak, „podzieliła się okrucami pamięci”:

„Dom przy ulicy Herderstrasse 10 w Głogau zbudowany został w 1938 roku (...) Mój ojciec, Karl Voigt, był dyrektorem banku. Wprowadziliśmy się do mieszkania najprawdopodobniej w tym albo w następnym roku (1939). Rodzice mieli sześćro dzieci, a wio-

się nowi lokatorzy. Remontowali domy, przerabiali je po swojemu. Ja swojego do dzisiaj nie ociepiłem styropianem, wolę, by wyglądał tak, jak po wojnie.

Mieszkańcy cenią sobie spokój („niby w mieście, a jak na wsi”) i że wszędzie jest blisko („i szpital za rogiem, kościoły, autobus niedaleko”).

- No i zakład pogrzebowy mamy na naszej ulicy, najstarszy w całym mieście, bo jeszcze w latach 50. ojciec obecnego właściciela miał zakład stolarski i meble produkował. Meble i... trumny. Coś dla żyjących i coś dla tych, co odeszli – kiwa głową pan Andrzej.

Pokazuje dom naprzeciwko. - O, tu umarła nasza wieloletnia sąsiadka, córka odziedziczyła, sprzedała i poszła sobie gdzieś pod Warszawę. Niektórzy nie chcą w tych starych domach mieszkać, wolą nowe bloki. Nie patrzą na to, że dom to nie tylko cztery ściany, że też otoczenie, ludzie, koło których się żyje i z którymi się żyje. Dla mnie to wielka wartość. Ja bym się z 10 Maja nie wyprowadził – zaklina się Ruebenbauer.

Ulica się zmienia, ale jej puls wciąż mocno bije. Na partery domów po-

wymyśliła święto „Imieniny ulicy 10 Maja”, ona nas integruje. Cudowna sąsiadka – mówi Ruebenbauer.

Bogumiła Szlifierz uśmiecha się skromnie pod nosem, nakłada na talerzyki babkę piaskową oraz ciasto z kremem i owocami. Krem znakomity, a babką, choć ma rodzinę, też się częstuję. Gdy chwałę wypieki, mówi: - Sama nie piekłam, to kupne, ale ze sprawdzonej cukierni.

A potem zaczyna opowiadać.

- Gdy się tu wprowadziłam, zastanawiałam się, dlaczego ta ulica ma taką nazwę. No i kto tu mieszka, kim są moi sąsiedzi, co robią, jakie mają pasje? Chciałam poznać ich historie, historie ich rodzin, historie poprzednich lokatorów.

- Po co? – pytam, może trochę zbyt obcesowo.

- Zaciekawiała mnie przeszłość tego miejsca. Zaczęłam pytać – najpierw najbliższych sąsiadów, potem tych dalszych: jak to było kiedyś. I wtedy wpadłam na pomysł, żeby zebrać wszystkich i usiąść z nimi przy jednym stole. Wielkim stole, ustawionym na środku ulicy! I porozmawiać, powspominać. Chciałam, żeby moi sąsiedzi wyszli

z domów, żeby się otworzyli bardziej jeden na drugiego, żeby każdy opowiedział, co go trapi, boli, co mu się podoba, a co nie. Żeby wyciągnąć starszych mieszkańców z ich czterech ścian, z samotności. I zintegrować tych starszych z młodszymi.

Pierwsze „Imieniny ulicy 10 Maja” odbyły się 10 maja 2018 roku – jakże inaczej, data nie mogła być inna.

Taki był finał wielomiesięcznych przygotowań. Najpierw pani Bogusia sama chodziła od domu do domu, pytając, czy zgadzają się na świętowanie imienin ulicy i co sądzą o tym pomysłe („Tym, których nie zastałam w domu, wrzucałam kartkę z informacją do skrzynki pocztowej” – wspomina). Potem zorganizowała spotkanie mieszkańców – przyszli prawie wszyscy (zabrakło jednego sąsiada). Gdy jednogłośnie przyjęto jej pomysł, ruszyła lawina pism (zgoda na zamknięcie ulicy od miasta, wysyłanie zaproszeń – do byłych i obecnych mieszkańców, do proboszcza, do radnych, prezydenta). Gdy uporała się z papierami – poszło jak z płatka. Nie obejrzała się i był maj. Ulica zamknięta, na środku stoły przykryte – elegancko – obrusami.

Stoły i krzesła wyciągnęli ze swoich domów, wszyscy pomagali nosić. Na nich wyładować imieninowy tort, obok – ciasta i soki, żadnego alkoholu. Kwiaty w doniczkach.

Imieniny można zacząć, jeszcze tylko ostatni sznyt. Pani Bogusia wie, że kolorowe trójkąki na płotach („wcześniej były balony, ale powitrze z nich schodziły i wyglądało to źle”), pilnuje dostawy stołów i żeby były obrusami przykryte (ma być elegancko!).

I tak już jest każdego roku. Zawsze w maju. Zawsze dziesiątego.

Atmosfera jest rodzinna. Są chwile wzruszenia („kiedy wspominamy tych, których już z nami nie ma”) i łyż radości („kiedy się spotkamy z kolegami, sąsiadami, przyjaciółmi niewidzianymi od lat”). Ale też i śmiech: „kiedy opowiadamy sobie historie sprzed lat – jak tę tragiczno-śmieszną, kiedy jeden z sąsiadów wyskoczył przez okno, ale się nie zabił, bo spadł na drzewo owocowe pod oknem i gałęzie zamortyzowały upadek”) – słucham coraz dziwniejszej opowieści.

- I co z nim teraz?

- Dawno się wyprowadził, mieszka na drugim końcu Polski, w Lublinie, ale często odwiedza Głogów. Przyjeżdża do nas na 10 Maja.

- Wspominamy też dawnych mieszkańców ulicy, opowiadamy tym, którzy tu teraz mieszkają – kim byli ich sąsiedzi, kto wcześniej mieszkał w ich domach. To ważne, bo pamięć bywa ulotna – mówią zgodnie i dodają: - Te spotkania są budujące. Dodają nam jakiejś takiej energii na cały rok. I chyba po każdym bardziej się z sąsiadami lubimy, choć wydaje się, że bardziej się już lubić nie da.

Ludziom spodobała się taka forma integracji. - Głogowanie zaczepiają mnie na ulicy: „Pani Bogusiu, czy na pewno w przyszłym roku będzie to święto na ulicy?”. Więc chyba im się podoba – mówi pani Bogusia.

Organizuje imieniny od początku do końca. Dbą o wszystko, począwszy od stołów, poprzez catering, na ulicznym grajku skończywszy. Organizacja takiej imprezy to koszty, ale...

- Znalazłam sposób – uśmiecha się pani Bogusia. - Napisałam projekt, żeby otrzymać pieniądze z budżetu obywatelskiego. Spodobał się w całym Głogowie. Nawet ludzie z innych części miasta głosowali na nasz pomysł. I dostaliśmy pieniądze. I w tym roku też składamy wniosek do budżetu – dodaje. Sama chodzi od domu do domu, zbiera podpisy.

- Wieczorem zmęczenie jest ogromne, ale i satysfakcję trudno opisać. To jest taka radość w sercu: że ludzie przychodzą, że się im podoba – mówi pani Bogusia.

Mieszkańcy ulicy, głos zbiorowy, niczym chór: - Doceniamy bardzo to, co Bogusia robi dla nas. Że nas tak integruje. Że dzięki niej bycie sąsiadem to nie jakieś slogany. Że to ma wartość. Że dzięki niej nie dzielimy się tylko pomidorami, które nam na działce obrodziły, ale swoim życiem – radościami, problemami. Te rozmowy są bezcenne. Budują wspólnotę. Taką naszą, maleńką, na jednej ulicy – dodają.

Wspólnota nie składa się na organizację imienin – każdy, kto przychodzi, przynosi coś ze sobą: czy to ciasteczka, czy ciasto upieczone, może być też kupione, ktoś zrobi herbatę, ktoś inny przyniesie kawę, kolejny wodę. Jak u cioci na imieninach.

Świętują i obecni mieszkańcy ulicy, i dawni, którzy zjeżdżają tego dnia choćby z Zielonej Góry, Lublina czy Wrocławia, przychodzą też osoby z pobliskich ulic i z najdalszych zakątków Głogowa. Przy jednym stole siadają i dzieci, i dorośli, w tym historycy – ciekawi wspomnień mieszkańców. Nie może zabraknąć prezydenta Głogowa.

Jest jak w domu, młodszy usługuje starszym, a to kawę przyniosą, a to cukier podadzą.

- Nigdy nie było problemu, żeby jedna sąsiadka drugiej cukru pożyczyla, nawet jak była komuna. A sąsiad coś mocniejszego, gdy zabrakło w domu, a goście na progu – śmieją się mieszkańcy.

Andrzej Ruebenbauer zastanawia się chwilę: - Pamiętam jeszcze, jak w czasach PRL co sobotę była taka sąsiedzka tradycja na ul. 10 Maja: do mojej matki schodziły się sąsiadki, znosiły wszystkie potrzebne produkty, kto co miał w domu: mąkę, jajka, owoce, cukier i wspólnie piekły ciasta. Jak pachniało w całym domu!

- A czemu u was w domu odbywało się pieczenie?

- Bo nie wszystkie panie potrafiły upiec, a moja mama tak. Uczyla je, pokazywała, co i jak, skończyła szkołę gastronomiczną.

Pani Bogusia dalej: - Chciałam, żeby na tych symbolicznych imieninach ludzie się nie tylko spotkali, zjedli i powspominali. Ale też, żeby to był taki moment pojednania, jeśli ja czy sąsiedzi są skłóceni ze sobą, to żeby podali sobie ręce na zgodę.

- Czyli nie tylko sielanka? - dopytuję.

- Mamy sąsiadów innej wiary, która nie pozwala im obchodzić imienin, urodzin i wspólnie świętować. Bo to ich zdaniem pogańskie zwyczaje. Ale szanują naszą nową, sąsiedzka tradycję, nie protestują, że ulica jest zamykana, a pod ich oknami ludzie imprezują. Dobrzy ludzie, spokojni sąsiedzi. Mają swoje



Rok 1959. Atmosfera na ul. 10 Maja nie zmieniła się przez dekady

zasady. My to szanujemy, choć integrować się w ten sposób z nami nie chcą. No i jest jeszcze jeden sąsiad na ulicy, który nikogo nie lubi.

- A jednak – nie chciałem, żeby to źle zabrzmiało, choć chyba tak właśnie zabrzmiało.

- I on nie chce mieć z nami, swoim sąsiadami, niczego wspólnego. Nic mu się nie podoba, niczego nie chce. Ale co roku liczymy na cud. Każdego roku go zapraszamy do wspólnego stołu, do wspólnego świętowania, do poznania się bliżej. Może kiedyś się przełamie, może kiedyś do nas wyjdzie.

Sąsiad, który nikogo nie lubi? Na ulicy, gdzie lubią się wszyscy? Idę do niego, rzyk-fizyk, najwyższej przeklnie mnie albo wyśmiej, że zachwyam się 10 Maja.

Mały, zadbane dom. Równie przystrojony żywoplot, który zastraszania ogród za domem przed oczami ciekawskich („On tam poustawiał mnóstwo krasnali ogrodowych, takich gipsowych, kolorowych” – opowiadają jego sąsiedzi).

Przed domem – na ścianie pozwieszane podkowy i wielkie, metalowe nożyce. Przy jednym z okien dziwna konstrukcja z dwóch lusterek: jedno skierowane na ulicę, obok drugie, które przechwytuje odbicie z pierwszego i w którym właściciel domu (nie pokazując się odwiedzającym) może zobaczyć, kto do niego przyszedł.



Pierwsze „Imieniny ulicy 10 Maja” odbyły się 10 maja 2018 roku – jakże inaczej, data nie mogła być inna

Przy płocie – dwie tabliczki „Uwaga! Zły pies”, choć nie słychać żadnego szczekania, gdy podchodzę przed furtkę.

Zanim naciśnę dzwonek, muszę odgarnąć pajęczyny. Widać, że rzadko ktoś korzysta z przycisku. Dzwonię. Cisza. Nikt nie wychodzi. Nie reaguje. Przychodzę pod dom pana Stanisława czterokrotnie, w różnych porach dnia. Bez skutku. Nie ma z nim kontaktu.

- Z nim już tak jest. Nie otwiera nikomu. Samotnik. Kiedyś to jeszcze okno uchylił i rzucił „złym słowem” – mówią mieszkańcy.

- „Złym słowem”?

- No, żeby odejść, ale mówił to w wulgarny sposób... Dziś tylko patrzy przez te swoje lusterka i nikomu nie otwiera.

Szkoda, bo byłbym bardzo ciekawy: Jak postrzega swoich sąsiadów? Dlaczego się od nich izoluje? Czy stoją za tym jakieś niesnaski z przeszłości?

Na ulicy nóżka chodzi

Dla dzieci dzień imienin ulicy to raj. Tego jednego dnia mogą się bawić, bezpiecznie, na środku ulicy. Malować kredą, pograć w piłkę od płotu do płotu, bez obawy, że coś nadjedzie. Jest wesoło.

No, i jak to na imieninach, jest muzyka. Przez lata przychodził profesjonalny muzyk, rozkładał organy elektroniczne i grał. W tym roku był DJ. Kto ma ochotę, może potańczyć na środku

ulicy. - Ludzie czują rytm, podrygują, nóżka im chodzi. I wychodzą na środek ulicy. I tańczą. Cudowny widok – śmieją się mieszkańcy.

Pani Bogusia zapewnia, że te wszystkie zachwyty wcale nie są na potrzeby mediów. - Dowód mam – kładzie na stole ciężką, oprawioną na bordowo, księgę pamiątkową, w której co roku wpisują się goście.

Pani Bogumiła napisała na stronie tytułowej: „Kochani! Z całego serca dziękuję za waszą obecność i udział w obchodach imienin ulicy 10 Maja. Oddaję w wasze ręce tę księgę, w której proszę Was o pamiątkowe wpisy. Każdy będzie na wagę złota”.

Różne kolory długopisu, różne charaktery pisma:

„Wychowałam się na tej ulicy od trzeciego tygodnia życia do dorosłości. Napełniłam beztroską, radością, spokojem i atmosferą wspólnoty sąsiedzkiej. Wyniosłam to w swoje dorosłe życie. Ulico, sąsiedzi, koleżanki – dziękuję”.

„Bardzo się cieszymy, że jesteśmy częścią tej pięknej ulicy i społeczności bardzo życzliwych sąsiadów (...).”

„Świetna inicjatywa dla obecnych i byłych mieszkańców 10 Maja”.

„To fantastyczna sprawa”.

„Pomysł bardzo oryginalny, godny naśladowania i kontynuacji”.

„Superdoskonała wycieczka historyczna po ul. 10 Maja”.

„Dziękuję za zorganizowanie święta mojej ukochanej ulicy 10 Maja. Dziś jestem tu z synem Wojtkiem i wnuczką Olusiem. Moja mama Irena niestety już odeszła...”.

„To możliwość poznania fantastycznych ludzi”.

„Mamy szczęście mieszkać na najpiękniejszej ulicy w Głogowie”.

„Droży sąsiedzi. Dziękujemy za wspólne biesiadowanie na naszej pięknej ulicy. To wyjątkowe wydarzenie (...) Niech najmłodszy uczyć się od naszych najstarszych tradycji”.

„Ja chodziłam tą ulicą od września 1976 do marca 2008 do pracy do szpitala”.

Dom nr 9. Śliczny, zadbane. Właśnie tu mieszkają Teresa i Lucjan Koch.

Klimatyczne mieszkanie na parterze – na ścianach obrazy biją po oczach soczystymi barwami. W powietrzu czuć farbami pomieszanymi z zapachem roślin złanych deszczem. Intensywny zapach wpada przez otwarte okno.

- Dobrze, że pada. Bo sucho w ogrodzie strasznie.

- Niech pan siada, kurtkę ściągnie, porozmawiamy. O sąsiadach z ulicy? Chętnie i od razu panu powiem, że ludzie z innych części miasta nam zazdroszczą. Tak, tak. Zazdroszczą. Że sąsiedzi mogą tak funkcjonować obok siebie. Na zamkniętych osiedlach, w anonimowych blokach, wieżowcach – ludzie się nie znają. Nie to co u nas... - mówi pani Teresa, malarka.

Jej mąż Lucjan (przez wiele, wiele lat lokalny przedsiębiorca – prowadził m.in. najbardziej znany sklep z ekskluzywnymi ubraniami w mieście) dodaje:

- Ja żyję tu od 1960 roku. Wtedy moi rodzice kupili ten dom. Miałem 20-letnią przerwę po ślubie, ale wróciłem: mama umarła, ojciec został sam. Trzeba było się nim zaopiekować. Mieszkał z nami jeszcze 14 lat.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Ulica 10 Maja, kilka lat po wojnie. Dzieci wychowywały się wspólnie

- Dobrze nam tu. Nikt na nikogo krzywo nie patrzy, nikt na nikogo źle nie mówi. Wprowadziło się na naszą ulicę wielu młodych ludzi, to dobrze. To bardzo otwarci sąsiedzi. Otwarte umysły. Świeże. Z jedną z sąsiadek mamy wspólną pasję: rośliny, wymieniamy się nawet sadzonkami. Jak trzeba, to i sąsiadce dziecko można przypilnować, jak w potrzebie jest i musi coś gdzieś szybko załatwić. I sąsiadce, co sama mieszka, w życiu codziennym pomóc, bo dzieci daleko - mówi pani Teresa. Pomoc działa w dwie strony. - Mąż wiele razy prosił któregoś z młodszych sąsiadów o pomoc: żeby przyszedł, coś mu pomógł przenieść.

Nigdy nikt nie odmówił - wspomina Teresa i dodaje: - Uważam, że trzeba być otwartym na drugiego człowieka, empatycznym. To procentuje. Jeśli lubisz ludzi, to ludzie lubią ciebie. Nie ma szans, żeby się nie porozumieć.

- Nie ma problemu, że sąsiad do sąsiada, bez umawiania się z wyprzedzeniem, bez zapowiedzi telefonicznych, wpadnie pogadać, zobaczyć co słycać. I nie ma jakiejś wrogości, dystansu. Mamy najbliższych sąsiadów innej wiary. No i co z tego? Dla nas nie ma to znaczenia. Ważne, jakim jest człowiekiem i sąsiadem - mówi pan Lucjan i dodaje: - Ja mówię mojemu sąsiadowi, co z boku mnie mieszka: „Sąsiad nie jest potrzebny bez przerwy, cały czas. Ale ważne jest to, że jak jest potrzebny, to jest obok. I pomoże”.

- Lucjan i Teresa są bardzo życzliwi, przyciągają ludzi - rzuca przysłuchująca się rozmowie pani Bogusia. - To nasze papużki-nierozłączki. Cudownie na nich patrzeć, jak się wspierają.

- Oj tak, mąż mnie wspiera. Bardzo. Zwłaszcza kiedy jakiś obraz namaluję na ciężkiej płycie i trzeba go przenieść - uśmiecha się Teresa.

Jej obrazy wiszą w całym domu. Piękne. Jedne w ramach, ale głównie bez: samo płótno naciągnięte na ramy.

Kolorowe postaci w różnych pozach i strojach (przeważają kobiety) przyciągają uwagę. Feeria barw. Uderza z nich niesamowita, pozytywna energia. Coś jak połączenie Pabla Picassa i Salvadora Dalego. Ale jednak widać oryginalny styl pani Teresy.

Ulubione obrazy pokazała sąsiadom podczas ostatnich imienin

ulicy. Te ulubione. Porozwieszała je na płocie.

Największą uwagę przyciągał portret kobiety w zielonej sukni. Tajemniczy, z dziwnymi postaciami w tle.

- Dla żony-artystki, która maluje obrazy, to dobre miejsce. Tu może być kreatywna. Może spokojnie tworzyć - mówi Lucjan.

- A ja niekiedy myślę sobie, że nawet tu za cicho jest. Wolałabym, żeby trochę szumu było: żeby dzieciaki biegały po okolicy, trochę hałasowały - dodaje pani Teresa.

Na 10 Maja mieszka sporo osób samotnych, ani dzieci, ani wnuków na miejscu nie mają. Sąsiedzi są bliskimi.

- Wiemy, jak ktoś dłużej choruje, to od razu zakupy zrobimy, po leki ktoś poleci, albo coś innego załatwić. Sąsiad jest cudownym lekiem na samotność - mówią mieszkańcy 10 Maja.

Ponad 80 procent Polaków deklaruje: nie unikamy sąsiadów

„Polacy w ogromnej większości twierdzą, że są otwarci na kontakty sąsiedzkie” - czytamy w telefonie zdanie z badań „Relacje sąsiedzkie” przeprowadzonych przez Centrum Badania Opinii Społecznej (CBOS) i patrzę na reakcję pani Bogusi, która razem ze mną odwiedziła małżeństwo Kochów. Potem podrzucam jeszcze trochę suchych faktów, bo chcę wiedzieć, jak teoria ma się do praktyki: „Ankietowani utrzymują, że nie unikają sąsiadów, nie izolują się od nich (84%), więcej nawet - w miarę możliwości starają się nawiązywać z nimi kontakty, pozdrawiając, zamieniając kilka słów czy rozmawiając z napotkanym sąsiadem (88%). Zdecydowana większość badanych twierdzi, że ma życzliwych, dobrych sąsiadów, na których w razie potrzeby mogliby liczyć (80%). Jednocześnie jednak sąsiedzkie relacje większości Polaków zdają się mieć przede wszystkim konwencjonalny, grzecznościowy charakter, a prawie trzy piąte badanych przyznaje, że w relacjach z sąsiadami starają się postępować tak, by nikt z nich nie miał do nich pretensji, ale trzymają się na dystans (57%).

Pani Bogusia: - Taka wspólnota, jak u nas, jest rzadkością. W wielkich miastach, w blokowiskach jest gorzej. A na zamkniętych osiedlach? Dramat!

Jak sąsiedzi są ze sobą na „dzień dobry” - to już sukces.

- Z perspektywy socjologicznej, dobre relacje sąsiedzkie mają bezpośredni wpływ na kapitał społeczny, zasób oparty na zaufaniu i współpracy, który decyduje o jakości życia, a także o poziomie bezpieczeństwa i solidarności w danej społeczności. Tam, gdzie ludzie się znają, rośnie skłonność do pomagania, spadają poziomy anonimowości i obojętności - wyjaśnia dr Barbara Kilijańska, adiunkt Wydziału Nauk Stosowanych z Uniwersytetu Dolnośląskiego DSW i dodaje: - Relacje sąsiedzkie wymagają zaangażowania, czasu i kultury dialogu. Współczesny styl życia, mobilność, tempo pracy, cyfrowa komunikacja często osłabiają potrzebę nawiązywania kontaktów z osobami „zza ściany”. Warto więc odzyskać świadomość, że sąsiad to nie tylko współlokator budynku, ale potencjalny sojusznik, przyjaciel, czasem nawet „rodzina z wyboru”. Właśnie w tych lokalnych więziach rodzi się realna demokracja i troska o otoczenie.

- Czyli bardzo poważna sprawa, choć rodzi się z prostej życzliwości - zagaduję.

- Gdy panuje życzliwość i wzajemna troska, przestrzeń ta staje się bardziej przyjazna, bezpieczna i estetyczna. Wówczas chętniej się w niej żyje, pracuje i wychowuje dzieci. Coraz częściej mieszkańcy inicjują sąsiedzkie wydarzenia: wspólne święta ulicy, lokalne obchody, pikniki czy spotkania integracyjne na podwórkach i placach. Tego typu inicjatywy sprzyjają nawiązywaniu relacji, ułatwiają rozmowę i przełamują codzienną anonimowość. Niekiedy już samo zorganizowanie prostego spotkania na świeżym powietrzu, staje się okazją do poznania się i zbudowania podstawowego zaufania.

Nie bez znaczenia jest też aspekt wychowawczy, dzieci uczą się postaw społecznych przez obserwację dorosłych. Jeśli widzą, że ich rodzice witają się z sąsiadami, pomagają im i angażują się w życie wspólnoty, wchłaniają te wartości jako coś naturalnego. Tak kształtuje się obywatelskość od podstaw.

Pół wieku temu, jak i teraz

Pani Bogusia mieszka w domu (pod trójką, przypomnijmy), w którym na parterze przez wiele lat żył i przyjmował pacjentów znany głogowski lekarz, chirurg Tadeusz Sulicki (blok operacyjny głogowskiego szpitala nosi jego imię). Już za jego czasów wspólnota międzysąsiedzka na 10 Maja miała się świetnie.

- To był sąsiad! - wspomina pan Andrzej. - Przyjechał do Głogowa w latach 60.

We wtorki i w piątki przyjmował prywatnie: w gabinecie. Ludzi była masa: z całego Głogowa przyjeżdżali, spod Głogowa furmankami, a potem dowody wdzięczności pacjentów biegały po podwórku: kury, gęsi, kaczki.

- Moja mama miała z doktorem taki układ sąsiedzki - przychodził do niej i pytał: „Pani Wando - gąska czy kaczka?”. Bo sam oskubać i ubić nie potrafił. A może nie lubił. I mama jednego ptaka dla doktora oporządzała, a drugi był dla nas - opowiada pan Andrzej i wspomina:

- Doktor to był człowiek wielu pasji. Młodzię lubił. O historii nam opo-

wiadał. Tej prawdziwej, nielegalnej, o Katyniu, o zbrodniach radzieckich. Miał wielkie poszanowanie, posłuch wielki. Nikt nawet nie pomyślał, żeby na niego donieść. A i swoimi pasjami nas, dzieciaków z 10 Maja, zarażał. Co niedziele nas do kina Bolko zabierał na seanse. Filmy o Indianach oglądaliśmy. Pamiętam, że niekiedy w czasie filmu wchodziła na salę bileterka, pani Majewska, i mówiła: „Pan Sulicki proszony do wyjścia. Pilny przypadek. Karetka już czeka przed kinem”.

Jak kupił sobie auto, piękną Warszawę, to pakował dzieciaki z sąsiedztwa do środka i wioził nas nad wodę, na Glinianki na Paulinów. A od sąsiadów za wizyty lekarskie nigdy pieniędzy nie brał. Gdy któryś z sąsiadów chciał mu zapłacić, mówił: „A w dupę mam cię kopnąć?”.

Pan Andrzej dodaje też, jak z zakładu pogrzebowego (był dokładnie vis-a-vis domu chirurga) wychodziła właścicielka i żartowała przez ulicę: „Tadziu, przysłałbyś jakiegoś klienta do mnie, a nie wszystkich tylko bierziesz dla siebie”.

Jak doktor Sulicki po sąsiedzku życie ludzkie ratował. Sam Bross był pod wrażeniem

Czuje, że o doktorze mieszkańcy mówić mogą bez końca.

Obok ul. 10 Maja, ciągnie się ulica Chopina. Mieszkała tam rodzina: matka, ojciec i czwórka dzieci, trzy córki i syn. Rok 1965.

- My, dzieciaki, bawiliśmy się w tym czasie najchętniej w wojnę. A w Głogowie sporo było jeszcze broni, niewypałów, niewybuchów, granatów poukrywanych, które potrafiłmy znaleźć. I pewnego dnia ten jeden, jedyny syn przyniósł do domu pocisk. Wiele rodzin nie miało ciepłej wody, łazienek. Oni też nie. Grzali wodę do kąpieli na środku kuchni. I ten chłopak, pach, ten pocisk w ogień wrzucił. I czekał co będzie - wspomina pan Andrzej.

Wybuch był straszny. Chłopaka na miejscu zabiło, a jedną z jego siostr odłamki poraniły okropnie. Ojciec chwycił ranną córkę i na rękach zniósł ją do karetki, która na sygnale pognęła do szpitala. Dziewiąta wieczór, wprowadzono doktora Sulickiego. Mieszkał kilkanaście metrów od szpitala.

Nie miał takiego sprzętu i aparatury, jak dzisiaj. Operował, odłamki powyciągał. Nie ruszył tylko jednego, dużego, który utknął przy sercu. Bo gdy próbował go ruszyć, serce natych-

miast przestawało pracować. Zaszył pacjentkę i wysłał ją na konsultację do Wrocławia. Zbadał ją sam profesor Wiktor Bross, ikona medycyny, pierwszy, który w Polsce przeprowadził operację na otwartym sercu. Prof. Bross stwierdził: „Tu nic więcej robić nie wolno. Ten lekarz z Głogowa zrobił wszystko to, co trzeba i dobrze, że tego odłamka nie wyciągał, bo gdyby go ruszył, to pacjentka by już nie żyła”.

- I niech sobie pan redaktor wyobrazi, że ta dziewczyna, dziś starsza kobieta, żyje! Urodziła dzieci, mąż już jej umarł, a ona żyje nadal - pan Andrzej nie może wyjść z podziwu.

„Po co ma pan chować w grobie dwójkę dzieci osobno?”

Co się dziś dzieje z tą dziewczynką, cudem ocalałą w wybuchu? Gdzie jest teraz? Jak wspomina ten tragiczny czas? Janka wtedy miała 16 lat. Dzisiaj - 76.

„Kiedyś mieszkała na drugim piętrze, w starym domu, obok był garaż” - mówi mi przez telefon pan Andrzej. - „Bym pana zaprowadził, ale w szpitalu wylądowałem, podleczyć się muszę”.

Chodzę pobliską ulicą Chopina, gdzie Janka mieszkała 60 lat temu. Od domu do domu - wybieram tylko te stare, ponemieckie. Do drzwi nowych budynków nawet nie pukam.

W większości domów nikt nie otwiera. Ci, którzy są w mieszkaniach - nie kojarzą wybuchu sprzed lat, ani dziewczynki, która ocalała. Nie dziwię się - to głównie młodzi ludzie.

W jednym z domów - dwa mieszkania. Dzwonię pod dwójkę („Janka mieszkała na piętrze”).

Otwiera starsza, szczupła kobieta. Uśmiecha się: „Kogo pan szuka?”.

Ubrana jest w letnią sukienkę, z lekkim dekoltem. Na piersi widzę bliznę, która biegnie prawie od szyi w dół, w okolice serca.

- Szukam pani Janiny, która mieszkała tu jako młoda dziewczynka: Janka Wagner... - pytam, choć jestem pewien, że już ją odnalazłem.

- To ja - odpowiada kobieta. - To mnie 60 lat temu ocalał doktor Sulicki i jego zespół. Do końca życia będę mu wdzięczna. Niech pan wejdzie - dodaje i zaprasza do mieszkania na piętrze.

Siadamy w pokoju, przy stole nakrytym białym obrusem. To w tym miejscu wydarzyła się przed laty tragedia.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Mieszkańcy wspominają, że zawsze żyli z sąsiadami jak w rodzinie

- A że mnie pan tu znalazł, to dopiero niespodzianka. Wiele lat tu nie mieszkałam. Wyprowadziłam się stąd na osiedle Kopernik z mężem. Ale wróciłam tutaj, do mieszkania rodziców, po latach. Na starość.

Wspomina: - To był 25 stycznia 1965 roku. Szedł mi 16. rok życia, urodziny mam we wrześniu. Nie wiedziałam, że coś wybuchło. Myślałam, że wysiadł prąd, bo był wielki błysk i nagle zrobiło się ciemno. Nie straciłam przytomności: pamiętam widok zakrwawionego brata, który leżał oparty o drzwi, pamiętam ból, jaki mi rozrywał prawy bok, i to, że leżałam na podłodze i chciałam podsunąć sobie stołeczek, żeby na nim usiąść, ale siły nie miałam. I tatę pamiętam, jak mnie trzymał na rękach i tulił. I to, jak strasznie płakał.

I pamiętam doktora Sulickiego, bo to doktor z ulicy obok, który był przy mnie, który ze swoimi ludźmi mnie ratował.

- Ta blizna na piersi to ślad po tym wybuchu? - dopytuję.

- Nie. Tu mnie cięli lekarze z Wrocławia, już później. Doktor Sulicki mnie operował od prawej strony - bo dwa odłamki uderzyły mnie w prawy bok. Rozerwały płuco i doszły w okolice serca. Jeden zdołali wyciągnąć, drugiego - który utkwiał w osierdziu prawej komory serca - nie udało się ruszyć. A próbowali. Trzy razy. Gdy lekko wyciągali, serce przestawało bić - więc zostawili w spokoju.

Rodzina opowiadała mi, gdy doktor Sulicki wyszedł po operacji na korytarz, to był cały w mojej krwi. Tata wspominał, że wyglądał jak „po świńbiciu”. Powiedział tylko: „Zrobiliśmy, co tylko mogliśmy. Córka ma cholernie silne serce, ale niech się pan z pogrzebem syna wstrzyma jeszcze. Nie wiadomo, czy córka przeżyje. Po co ma pan w grobie dwójkę dzieci chować osobno”.

Pani Janina uśmiecha się. - A ja z tym kawałkiem metalu przy sercu już 60 lat żyję. Czworkę dzieci urodziłam.

Doktora Sulickiego widywała później wielokrotnie. - No bo przecież mieszkał niedaleko. A gdy dzisiaj przechodzi 10 Maja, zawsze go wspominam, czule, z wdzięcznością.

Dieciarnia na środku jezdni bawiła się razem

Gdy wracam na 10 Maja, spotykam jeszcze Eugenię Rudkiewicz, mieszka pod numerem jedenastym. Też pamięta dawne czasy, dawnych sąsiadów, żyje w tym samym domu od ponad 50 lat.

Wita mnie w progu. Zaprasza do środka.

- Z roku na rok coraz gorzej z pamięcią. Ale dobre rzeczy pamiętam. Na przykład to, jak się tu, na 10 Maja sprowadziłam. Bo to była dobra decyzja, żeby tu zamieszkać, wśród dobrych ludzi.

Pani Eugenia przyjechała na Dolny Śląsk tuż po wojnie, z Tarnopolskiego, z Kresów. Ale nie od razu do Głogowa. Najpierw zamieszkała w pobliżu Rudnej.

Zaczyna snuć opowieść: - Mąż pracował w terenie, ja na miejscu - w Rudnej. W skupie żywcą pracę dostałam. Dobrą. A męża tak poznałam, że siedziałam przy biurku, przy oknie, a on na dachu pracował. I mnie zaczęła. Małymi kamykami we mnie rzu-



Bogusia (na zdjęciu po prawej) jest naszą sąsiadką od niedawna. Ze 12 lat. Ale to ona wymyśliła święto „Imieniny ulicy 10 Maja”, ona nas integruje. Cudowna sąsiadka – mówi Andrzej Ruebenbauer

cał. Żeby uwagę zwrócić. No i zwrócił - uśmiecha się kobieta.

- „Danka” na mnie wołali, choć wpisane w papierach mam „Eugenia”. Mąż jeździł do pracy, a to do Legnicy, a to do Polkowic. I co rusz mu jakieś mieszkanie służbowe proponowali, a ja się z tej Rudnej ruszać nie chciałam. Ale, gdy kolejne mieszkanie, na 10 Maja właśnie można było kupić, najpierw je zobaczyła moja mama. Zachwyciła się tym miejscem i powiedziała: „Kupujcie”. I tak tu jestem tyle lat. I nie żałuję przeprowadzki - wspomina.

W domu, w którym mieszka do dzisiaj, wprowadziła się w latach siedemdziesiątych.

- Dzieci było tu mnóstwo, a samochodów mało, więc dzieciarnia na środku jezdni się bawiła razem. Przy dzieciach każdy każdemu pomagał, w opiece. Ja w szpitalu pracowałam, mąż był elektrykiem. Trójka dzieci, w ogródku warzywa, owoce no i świnka, i kury - opowiada.

- I wie pan, cieszy mnie to, że czasy się zmieniają, a ludzie się nie zmieniają. Dzisiaj też, nawet bardziej, bo dzieci daleko, na sąsiadów liczyć mogę. O, niby błaża rzecz, a jednak ważna. Dzwonek do drzwi mi się zepsuł. Sąsiad przyszedł, naprawił, grosza nie wziął. Za „dziękuję” - opowiada pani Eugenia i dorzuca:

- Mówi się, że czasy niebezpieczne, że ludziom ufać nie należy. Ludziom może i nie, ale sąsiadowi? - uśmiecha. - Sąsiedzi nawet klucz mają od mojego domu, tak na wszelki wypadek. Gdybym zasłała.

Góra z górą się nie zejdzie, ale sąsiad z sąsiadem

Państwo Stanisława i Piotr Kachnowicz mieszkają pod numerem szóstym. Sprowadzili się tu 20 lat temu, do mieszkania na parterze. Wcześniej mieszkali m.in. w czteropiętrowym bloku, też w Głogowie, przy ul. Obrońców Pokoju.

Pan Kachnowicz: - Jak trzeba z mechaniką coś w aucie pomóc, to sąsiad zza płotu nigdy nie odmawia. Jak to mówią: w rodzinie dobrze mieć księdza, lekarza i mechanika samochodowego. My tego ostatniego mamy za sąsiada - uśmiecha się.

- Ja jestem urodzony na wsi. Cenię sobie spokój, a mieszkając na tej ulicy spokój jest. Okno można otworzyć, pooddychać swobodnie.

Gdy słucham ich opowieści, wracają wspomnienia. Moje wspomnienie o sąsiadach z dzieciństwa. Bo przecież państwo Kachnowiczowie byli moimi sąsiadami. Dwa piętra niżej, kiedy jako mały Robercik (ponad cztery dekady temu) mieszkałem w Głogowie, w bloku z wielkiej płyty, właśnie przy Obrońców Pokoju.

- A co u rodziców?
- A państwo mieli dwóch synów.
- A jak tam siostra?
- A co słyhać u dawnych sąsiadów? Macie z nimi kontakt?

Opowieści o rodzinie, sąsiadach z bloku przy Obrońców, przeplatają się jedna z drugą, kto na którym piętrze mieszkał, co u kogo słyhać.

Sąsiadów się nie zapomina. A spotkać ich po latach to jak cud.

WZROST INTENSYWNOŚCI SĄSIEDZKICH WIĘZI TO EFEKT UBOCZNY PANDEMII COVID-19?

Genialna poetka Agnieszka Osiecka pisała przed laty: „Jak dobrze mieć sąsiada/Jak dobrze mieć sąsiada/On wiosną się uśmiechnie/Jesienią zagada”. Sielankowo jest w tekście piosenki Osieckiej. A jak wyglądają relacje międzysąsiedzkie w Polsce w ostatnich latach?

Odpowiedź mogą przynieść badania „Relacje sąsiedzkie” przeprowadzone przez Centrum Badań Opinii Społecznej (CBOS), a opublikowane w styczniu 2025 roku.

- Odkąd prowadzimy badanie więzi społecznych w miejscu zamieszkania, możemy obserwować, że relacje sąsiedzkie o charakterze czysto grzecznościowym i konwencjonalnym stają się stopniowo (zwłaszcza w ostatnim siedmioletnim) coraz mniej powszechne. W ciągu całego analizowanego okresu niespełna trzydziestu lat obserwujemy także minimalne, ale jednak dość systematyczne, zmniejszanie się zakresu sąsiedzkiego współdziałania o charakterze pomocowym, polegającego na wyświadczeniu sobie drobnych przysług, jak np. pożyczanie sobie czegoś, pilnowanie domu, pomoc w opiece nad dziećmi czy odbieranie przesyłek. Być może to ostatnie zjawisko świadczy o wzroście dostępności i jakości profesjonalnych usług wszelkiego rodzaju, co nie wymusza już konieczności proszenia sąsiadów o tego typu pomoc - informuje CBOS.

Natomiast dużo częstsze w relacjach z sąsiadami, niż były rejestrowane przez badaczy kiedykolwiek wcześniej, są dzisiaj kontakty o charakterze towarzyskim - wzajemne odwiedzanie się, bywanie u siebie na uroczystościach rodzinnych czy innych spotkaniach.

- W porównaniu z 2017 rokiem odsetek badanych, którzy utrzymują tego typu zażyłe kontakty z sąsiadami, wzrósł aż o 20 punktów procentowych. Tę tendencję wzrostową obserwujemy również w dłuższym okresie - jeśli za punkt odniesienia przyjąć rok 1995, to odsetek tego typu relacji zwiększył się o 14 punktów procentowych - czytamy w raporcie Centrum Badań Opinii Społecznej.

Od roku 2008 na podobnym poziomie utrzymuje się liczba sąsiedzkich konfliktów.

Polacy deklarują, że konflikty w najbliższym sąsiedztwie zdarzają się tylko nielicznym spośród nich, co jedenasty (9%) z badanych przyznał, że jest skonfliktowany z sąsiadami. W większości przypadków są to spory czy animozje ze stosunkowo niewielką grupą (od jednego do pięciu sąsiadów - 7%). Tylko zupełnie nieliczni (1%) są skonfliktowani i żyją jak przysłowiowy pies z kotem z większością sąsiadów.

- Mimo spadku niewielkiego znaczenia samopomocowych usług sąsiedzkich, ogólnie rzecz biorąc w ciągu ostatnich siedmiu lat zdecydowanie zwiększył się wcześniej dość stabilny odsetek badanych utrzymujących bliskie relacje z sąsiadami, zarówno te o charakterze towarzyskim, jak i pomocowym. O ile w okresie 2008-2017 odsetek ten nie przekraczał jednej trzeciej deklaracji, to obecnie sięga prawie połowy wskazań. Z drugiej strony wyraźnie zmniejszyła się liczba badanych utrzymujących tylko jednego typu kontakty z sąsiadami, natomiast nie zmienił się odsetek respondentów nieutrzymujących żadnych bliższych z nimi kontaktów. Tak znaczący wzrost intensywności sąsiedzkich więzi w ostatnich latach można interpretować jako efekt uboczny pandemii COVID-19 i okresu społecznej izolacji, która siłą rzeczy skazywała nas na współdziałanie z najbliższymi sąsiadami. Zadzierzgnięte wówczas więzi najwyraźniej utrzymują się do dziś - podsumowuje CBOS w swoich najnowszych badaniach.

KIEDY SUTANNA PRZESTAJE PASOWAĆ DO CIAŁA

Kiedyś księża rzucali sutannę w ciszy i wielkiej tajemnicy. Dziś coraz częściej robią to publicznie, liczba odejść rośnie, a ze stanu kapłańskiego odchodzą ludzie powszechnie znani. Najnowszym przykładem jest dominikanin ojciec Wojciech Jędrzejewski.

Anna Gronczewska, Matylda Witkowska

Ojciec Wojciech Jędrzejewski był znanym w Polsce dominikaninem, dobrym kaznodzieją. Urodził się w 1968 roku. Pochodzi z Kamienia Pomorskiego, gdzie skończył technikum gastronomiczne.

- Miałem już gotowy plan na życie: najpierw praca w kuchni na promie do Szwecji, potem otwarcie dochodowej smażalni ryb nad morzem - opowiadał nam przed laty. - Jednak przed maturą zdecydowałem, że chcę być kaznodzieją.

Do zakonu dominikanów wstąpił w 1988 roku, sześć lat później przyjął święcenia kapłańskie. Przez wiele lat posługiwał w Warszawie, gdzie był duszpasterzem młodzieży. Potem wyjechał do Łodzi, został przeorem tworzącego się ośrodka dominikańskiego przy ul. Zielonej. Tu był też duszpasterzem akademickim. Był jednym z najpopularniejszych kaznodziejów działającego w Łodzi Dominikańskiego Ośrodka Kaznodziejskiego. Udzielał się w mediach katolickich. Prowadził popularny przed laty portal „Mateusz”. Współpracował z Radiem Plus, można było go posłuchać na kanale Religia.tv. Współpracował między innymi z „Tygodnikiem Powszechnym”, „Więzią”. Napisał kilka książek „Ewangelia dominikańska” czy „Fascynujące zaproszenie”.

W telewizji internetowej Boska.tv prowadził program „Boska uczta”, gdzie gotował różne potrawy, które oceniali znani kucharze.

- Kościół podobny jest do zielonego ogórka: żeby dostrzec jego zalety, trzeba najpierw przebić się przez skórkę - tłumaczy dominikanin.

Zakon nie bierze odpowiedzialności

Dlatego informacje, które pojawiły się kilka dni temu, wywołały wielkie zaskoczenie. Zakon dominikanów wydał w sprawie ojca Wojciecha Jędrzejewskiego komunikat.

- Informuję, że ojciec Wojciech Jędrzejewski OP postanowił zwrócić się do Stolicy Apostolskiej z prośbą o zgodę na przeniesienie do stanu świeckiego i możliwość opuszczenia zakonu - napisał w nim Szymon Popławski OP, socjusz prowincjała dominikanów. - Prośba została przyjęta przez o. prowincjała do dalszego procedowania. Ojciec Wojciech Jędrzejewski podjął również decyzję o opuszczeniu klasztoru dotychczasowego zamieszkania. Przypomnę, że od 1 października 2024 r. działalność publiczną o. Wojciecha Jędrzejewskiego była zawieszona w związku prowadzonymi czynnościami kanonicznymi. Po podjęciu decyzji o wystąpieniu z zakonu i stanu duchownego oraz wyprowadzeniu się z klasztoru, zakon nie

bierze odpowiedzialności za jakiegokolwiek działania o. Wojciecha Jędrzejewskiego.

Od razu pojawiły się różne spekulacje dotyczące powodów takiej decyzji znanego dominikanina. Nie chciał się na ten temat wypowiadać Tomasz Terlikowski, popularny publicysta katolicki. Zamieścił jednak komentarz na ten temat na Facebooku.

- Szanuję też prawo do milczenia zarówno zakonu, jak i Wojciecha Jędrzejewskiego - napisał Tomasz Terlikowski. - Osobiste wybory, osobiste decyzje, jeśli nie łączą się z tuszowaniem przestępstw lub przestępstwami, powinny zostać uszanowane. Były już dominikanin może, jeśli będzie chciał, o nich opowiedzieć, a jeśli pojawią się nowe, rzucające odmienne światło na tę decyzję okoliczności, to być może powinni się do tego odnieść dominikanie. Jeśli jednak nie mamy w tej sprawie do czynienia z przestępstwem, a ze spłotem wydarzeń, może błędów, może grzechów, to dojrzałość wymaga, by pozwolić ludziom o tym milczeć. I nie, nie ma tu podobieństwa do innej medialnej sprawy, innego zakonika (...). Trudno też uciec od wrażenia, że ta - przecież nie pierwsza, i z pewnością nie ostatnia sprawa - przypomina nam z całą mocą, że duchowni są ludźmi, że nie na nich mamy budować naszą wiarę, i że ani charyzmatyczność, ani zaan-

gażowanie, ani nawet fakt, że pomagało się wielu osobom, nie chroni przed błędami. Jeśli mamy trwać w Kościele, to wiązanie emocji z ludźmi zawsze jest skazane na porażkę. Tym zaś, którzy odchodzą - na skutek rozmaitych błędów (nie zawsze swoich), spłotów okoliczności czy zmian - trzeba (jeśli tego chcą) dyskretnie towarzyszyć, wspierać, a także pozwolić na nowe życie. Wyjątkiem jest sytuacja, w której wydarzyła się nierozliczona krzywda, gdy tuszuje się krzywdę i pozwala ją czynić nadal. To jest ten wyjątek, który sprawia, że nie wolno milczeć.

Osobista decyzja i łamanie ślubów czystości

Tymczasem po kilku dniach sam Wojciech Jędrzejewski postanowił wyjaśnić powód swej decyzji.

- Odejście z zakonu i ze stanu duchownego jest moją osobistą decyzją - napisał w oświadczeniu opublikowanym na portalu „Więzi”. - Decyzja ta wiąże się z łamaniem zakonnych ślubów czystości, do której się zobowiązałem. Przepraszam tych, których zawiodłem, i proszę o modlitwę. Katolicyzm był i pozostaje przestrzenią mojego przeżywania Boga.

Wojciech Jędrzejewski jednocześnie zaznaczył, że nie będzie już komentował tej sprawy.



Dominikanin nie jest pierwszym i pewnie ostatnim zakonikiem czy księdzem diecezjalnym, który żegna się ze stanem duchownym. Ostatnie dane Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego dotyczące takich spraw pochodzą z 2017 roku. Wtedy w Polsce kapłaństwo porzuciło 73 księży. Natomiast od 2000 do 2017 roku sutannę w Polsce rzucało rocznie przeciętnie 56 księży diecezjalnych.

W ostatnim czasie takich przypadków jest coraz więcej. Na przykład w wakacje 2023 roku w archidiecezji poznańskiej z kapłaństwa odeszło pięciu księży. Ówczesny metropolita poznański abp Stanisław Gądecki wystosował w tej sprawie specjalny list do księży, w którym wzywał do nawrócenia. Z kapłaństwa odchodzą też księża pracujący w archidiecezji łódzkiej, choć te sprawy nie są nagłaśniane. Od kilku lat kapłanem nie jest już na przykład były wicerektor łódzkiego seminarium. Otrzymał od papieża zwolnienie ze ślubów czystości i mógł wziąć ślub kościelny.

Jedno z pierwszych głośnych odejść w polskim Kościele wykonał jezuita Stanisław Obirek. W 2005 roku ogłosił, że po 29 latach opuszcza zakon. Jak twierdził później, narastały w nim wątpliwości dogmatyczne, ale bezpośrednią przyczyną odejścia była krytyka Jana Pawła II na łamach belgijskiego dziennika „Le Soir”, w którym porównał zmarłego właśnie polskiego papieża do... „proboszcza wiejskiej parafii”. Został za to ukarany zakazem wykładać i kontaktów z mediami, po czym wystąpił z zakonu. Jako osoba świecka Obirek jest aktywnym publicystą i naukowcem, profesorem na Uniwersytecie Warszawskim. Napisał wiele książek, w tym najbardziej znaną „Gomora” o władzy, strachu i pieniądzu w polskim Kościele. Ożenił się.

W roku 2007 stan duchowny opuścił dominikanin Tadeusz Bartoś, który też w życiu świeckim zajął się publicystyką i pracą naukową na Uniwersytecie Ekonomicznym

JEDNO Z PIERWSZYCH GŁOŚNYCH ODEJŚĆ W POLSKIM KOŚCIELE WYKONAŁ JEZUITA STANISŁAW OBIREK. W 2005 ROKU OGŁOSIŁ, ŻE PO 29 LATACH OPUSZCZA ZAKON



Od 2000 do 2017 roku
sutannę w Polsce rzucali
rocznie przeciętnie 56
księży diecezjalnych

FOT. PIOTR KRZYŻANOWSKI/ARCHIWUM PPG

w Krakowie. Niemal jednocześnie z nim sutannę rzucił ks. Tomasz Węclawski, wcześniejszy rektor Arcybiskupiego Seminarium Duchownego w Poznaniu i dziekan Wydziału Teologicznego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Węclawski przyczynił się do nagłośnienia sprawy molestowania kleryków przez abp. Juliusza Paetza, przez co spotkał się z szykanami. W roku 2007 opuścił stan duchowny, a rok później dokonał apostazji. Odnalazł się w życiu pozakościelnym, na poznańskim uniwersytecie zaczął pracować jako wykładowca świecki. Opinia publiczna zapamiętała jego symboliczną zmianę nazwiska - Węclawski ożenił się i przyjął nazwisko panięńskie żony. Teraz nazywa się Tomasz Polak.

„Przestał się bać zwyczajnej miłości”

Wspieranie ofiar księży skończyło się też odejściem z Kościoła katolickiego dominikanina Marcina Mogielskiego. Zakonnik wspierał m.in. poszkodowanych przez swojego współbrata Pawła M., który ze studenckiego duszpasterstwa stworzył coś na kształt sekty, w której stosował „modlitwę nagością” i kary cielesne. Mogielski walczył o prawdę, ale nie wszystkim się ta działalność podobała. W konsekwencji dwa lata temu w Wielką Sobotę ogłosił, że od-

chodzi z Kościoła katolickiego i przechodzi do protestantów. Dziś wspiera osoby w kryzysie w nurcie radykalnego wybaczenia.

Wspieraniem psychologicznym zajął się też były przeor klasztoru dominikanów w Gdańsku Jacek Krzysztofowicz. Duchowny spędził w białoczarnym habicie ćwierć wieku, przyciągał na swoje wieczorne msze św. tłumy wiernych, po czym 12 lat temu nagle ogłosił, że odchodzi, bo „przestał się bać zwyczajnej miłości”.

Początkiem końca jego zakonnej drogi była książka o przestrzegających absurdalnie surowych reguł mnichach z Indii. Dominikanin zrozumiał, że też żyje w podobny sposób i przestał wierzyć w sens aż takich wyrzeczeń. Zakochał się, ożenił i przeprowadził do Łodzi, gdzie pracuje jako psychoterapeuta. Wspiera rodziców dzieci autystycznych i nie udziela się publicznie.

Dziewięć lat temu wierni z Łodzi śledzili odejście innego dominikanina - ojca Adama Wyszyńskiego. Młody zakonnik prowadził duszpasterstwo akademickie, doświadczył jednak nagłych i poważnych problemów zdrowotnych, co zmieniło jego spojrzenie na zakon. Potem w programie Zbigniewa Stonogi wyznał, jak od jednego z braci miał otrzymać niedwuznaczną propozy-

cję, a przez drugiego... został uderzonym patelnią w pośladek. Zakon wydał lakoniczne oświadczenie, natomiast ojciec Wyszyński zaprzyjaźnił się z księdzem Jackiem Międlarem.

Tam, gdzie sutanna zahacza o politykę

Połączyła ich sytuacja życiowa. Należący do zgromadzenia Księży Misjonarzy św. Wincentego a Paulo Jacek Międlar zdobył wątpliwą sławę z powodu swoich wystąpień nacjonalistycznych i homofobicznych. W końcu opuścił swoje zgromadzenie, ale nie zrezygnował z działalności publicznej. Brał udział w kontrowersyjnych marszach narodowców we Wrocławiu, miał też kilka procesów w związku ze swoimi wypowiedziami. Poglądów nie zmienił. Działa publicznie, napisał kilka książek, w tym dzieło pt. „Moja walka o prawdę. Wyznania byłego księdza”.

Polityka nie pomogła też w karierze innego księdza - Tymoteusza Szydło. Świecenia miał w czasie, gdy jego matka była szefową rządu. Jego pierwsze odprawiane msze św. stały się wydarzeniami medialnymi, ale w młodym duchownym narastał kryzys wiary. Ostatecznie wystąpił o przeniesienie do stanu świeckiego. Wyraził przy tym żal, że stał się ofiarą poszukiwaczy sensacji, przyznając jednak, że niepotrzebnie dał się skojarzyć z jedną opcją polityczną.

To tylko kilka przykładów głośnych odejść z kapłaństwa. Ale niektórzy zrzucają sutannę w ciszy.

Odejścia i powroty

Ta historia wydarzyła się przed laty. Kazimierz był księdzem z ponad 10-letnim stażem, kiedy poznał Iwonę. Dobrze się im rozmawiało, z czasem zaprosił ją do kawiarni. Ona wiedziała, że jest księdzem. Przez kilka miesięcy ukrywali swój związek. Nagle okazało się, że Iwona jest w ciąży. Na Kazimierza spadło to jak grom z jasnego nieba. Postanowił jednak nie zostawiać Iwony i ich nienarodzonego jeszcze dziecka. Odszedł z kapłaństwa. Zamieszkali razem. Na świat przyszła ich córka Kasia. Kazimierz nie widział poza nią świata. Ale nie mógł też zapomnieć o kapłaństwie. Został księdzem polskokatolickim. W tym Kościele kapłani mogą mieć żony. Odprawiał msze święte, a po nich wracał do swojej rodziny. Kasia miała 5 lat, gdy wyjechała z rodzicami na wakacje nad morze. Tu doszło do nieszcześcia. Wystarczyła chwila nieuwagi i dziewczynkę pochłonęły fale Bałtyku.

- To moja wina, moja wina! - powtarzał Kazimierz. Nie mógł pogodzić z tym, co się

KS. ISAKOWICZ-ZALESKI ZAUWAŻAŁ, ŻE W OSTATNICH LATACH SUTANNĘ ZRZUCAJĄ NAJCZĘŚCIEJ MŁODZI KSIĘŻA MAJĄCY PO KILKA LAT KAPŁAŃSTWA

stało. Bardzo pomogli mu wtedy koledzy, z którymi uczył się w rzymskokatolickim seminarium. Kazimierz postanowił wrócić na łono Kościoła. Procedury trwały długo, ale powrócił do kapłaństwa. Nie do diecezji, w której pracował. Skierowano go do pracy na zachodzie Polski. Został tam nawet proboszczem.

Kiedy parafianka za bardzo się spodoba

Jednak każdy przypadek porzucenia kapłaństwa jest inny. Zwykle księża nie robią tego z dnia na dzień. Rozmawia z nimi biskup diecezjalny. Często zanim zdecydują się na ostateczny krok, idą na urlop. Na rok, dwa, a nawet trzy lata. Może być spowodowany problemami zdrowotnymi, ale czasem taki ksiądz potrzebuje czasu, by przemyśleć pewne sprawy. Nadchodzi kryzys powołania i musi sobie z tym poradzić.

Józef już dawno nie żyje. Pochodził z bardzo religijnej rodziny. Urodził się na Wileńszczyźnie. Był ministrantem. Codziennie biegał na msze święte. Bardzo pobożna mama nie musiała go na to namawiać. Józef zdał maturę i postanowił wstąpić do zakonu jezuitów. Mimo że wybuchła wojna, nie zrezygnował ze swoich planów. Przyjął śluby zakonne, święcenia kapłańskie. Po wojnie jako repatriant razem z mamą przyjechał do Polski. Jego Wilno było już częścią Związku Radzieckiego. Formalnie dalej był jezuitą, ale z czasem został księdzem diecezjalnym. Pracował w diecezji wrocławskiej. Kiedyś przypadkiem spotkał Krysię, dziewczynę, którą przed laty poznał w Wilnie. Zainteresował się nią, bo pięknie śpiewała, on grał na skrzypcach...Krysia mieszkała z rodzicami w Łodzi. Miała 26 lat, była kilka lat młodsza od Józefa.

- Zakochałem się w niej, w jej głosie - zwierzał się potem Józef. - Nie mogłem przestać o niej myśleć, ale też wiedziałem, że bardzo chciałem być księdzem. Kochałem też Pana Boga.

Józefa dręczyły wyrzuty sumienia. Coraz częściej jednak spotykał się z Krysią. Wiedział, że robi źle, jednak nie mógł przestać o niej myśleć. Scenariusz znów zaczął się powtarzać. Okazało się, Krysia jest w ciąży... Józef wiedział już jedno, musi odejść z kapłaństwa. Był to przełom lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Wzięli z Krysią ślub cywilny,

urodził się im syn. Kazimierz zaczął starać się w Watykanie o zwolnienie od celibatu. Takiego zwolnienia może dokonać tylko papież. Józef w końcu je uzyskał. Znow mógł przyjmować komunie świętą, a przede wszystkim wziąć ślub kościelny z Krysią. Udzielił im go w swojej prywatnej kaplicy biskup Michał Klepacz, ówczesny ordynariusz diecezji łódzkiej. Józef uczył muzyki w łódzkich szkołach, Krystyna też była nauczycielką.

- Józef codziennie przed pracą chodził do kościoła na mszę i przyjmował komunie świętą - zapewnia jego dobra znajoma. - To był naprawdę bardzo dobry człowiek. Nie wolno zapominać, że nie ma zwolnienia ze święceń kapłańskich. Są one ważne do końca życia wyświęconego kapłana. Nie może on jednak sprawować sakramentów świętych.

Józef zmarł nagle. Nie wiedział, że jego synowa jest w ciąży. Kilka miesięcy po jego śmierci na świat przyszedł Michał. Chłopiec urodził się ze zniekształconą nogą...

Sutannę zrzucają młodzi księża

Nieżyjący już ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, współzałożyciel i prezes Fundacji im. Brata Alberta twierdził, że przyczyn odejść z kapłaństwa jest wiele.

- Kiedyś zupełnie inaczej wyglądało przygotowanie do kapłaństwa - wyjaśniał ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. - Ja studiowałem w krakowskim seminarium w latach siedemdziesiątych. Wtedy wielu kleryków odbywało służbę wojskową. Po jej odbyciu część nie wracała do seminarium. To już był jeden z elementów selekcji. Poza tym w seminarium mieszkaliśmy w spartańskich warunkach. Spaliśmy na piętroch łóżkach. Były szalki ze strony władz, inwigilacja. Wyświęceni księża byli zahartowani.

Ks. Isakowicz-Zaleski zauważał, że w ostatnich latach sutannę zrzucają najczęściej młodzi księża mający po kilka lat kapłaństwa.

- To bardzo niepokojące - martwił się ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. - Pojawia się pierwszy poważny problem i odchodzą. Moim zdaniem to nie sprawa celibatu, choć na pewno dla niektórych jest on problemem. Nie są przygotowani do zderzenia z rzeczywistością. Przez sześć lat są trzymani pod kloszem. Tra-

fiają na parafie i stykają się z problemami. Zaczynają uczyć w szkole religii, co dziś jest bardzo trudne. Nie każdy ksiądz ma predyspozycje, by być nauczycielem. Przy pierwszych konfliktach, problemach, młody ksiądz decyduje się odejść z kapłaństwa. Gdy kończyłem seminarium, wyświęcono ponad 50 księży. Z kapłaństwa odeszło dwóch kolegów.

Jacek sutannę rzucił w latach osiemdziesiątych. Pochodzi z Łodzi. Miał bardzo religijną mamę. Bardzo chciał, by jej syn został księdzem. Jacek miał kilkanaście lat, gdy posłała go do niższego seminarium ojców franciszkanów. Ale Jacek nie zdawał tam matury. Postanowił odejść z niższego seminarium. Do egzaminu dojrzałości przystąpił w świeckim liceum. Dalej jednak, przy wielkiej aprobacie mamy, chciał być księdzem. Wstąpił więc do paulinów, ale po jakimś czasie przeniósł się do paulistów. W końcu stwierdził, że chce być księdzem diecezjalnym. Starał się o przyjęcie do Wyższego Seminarium Duchownego diecezji łódzkiej. Ale odmówiono mu. Wtedy próbował szczęścia w seminarium częstochowskim. Tam go przyjęto. Został wyświęcony na księdza. Skierowano go do parafii znajdującej się niedaleko Piotrkowa Trybunalskiego, ale na terenie diecezji częstochowskiej. Grał pięknie na gitarze. Ludzie go polubili. Ale najbardziej spodobał się jednej z parafianek. Postanowił więc odejść z kapłaństwa. Potem w miejscowym Urzędzie Stanu Cywilnego wziął ślub cywilny. Wywołało to zgorznienie części tamtejszej społeczności. Jacek dalej chciał być jednak księdzem, więc przeszedł do Kościoła polskokatolickiego. Pracował najpierw w Polsce, dziś z rodziną mieszka w Stanach Zjednoczonych. Dalej jest księdzem polskokatolickim.

Kiedyś księża odchodzili z kapłaństwa cicho, w tajemnicy. Teraz takie decyzje bywają sprawami medialnymi. Ks. Michał Macherzyński, proboszcz w parafii pw. Matki Bożej Królowej Aniołów w Tychach-Wilkowicach podczas Bożego Ciała ogłosił, że zrzuci sutannę. Wierni przyjęli to oklaskami.

- Myślę, że te głośne odejścia są rodzajem usprawiedliwienia, pokazania, że ja jestem dobry, a Kościół zły - uważał ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. - Znam księży, którzy odeszli z kapłaństwa, nie robili z tego show, znaleźli sobie potem sensowne zajęcie. Prowadzę fundację i byli księża, zakonnice, siostry zakonne angażują się w jej prace jako wolontariusze. Robią dalej coś dobrego, odnajdują się w innej pracy. Ale znam takich, którzy nie odnajdują się w nowej rzeczywistości.

WOJCIECH SMARZOWSKI: WIERZĘ W TO, ŻE FILM MOŻE COŚ W NAS ZMIEŃCIĆ, BO INACZEJ NIE WYCIĄGAŁBYM KAMERY Z SAMOCHODU

Rozmowa z Wojciechem Smarzowskim, reżyserem filmowym i teatralnym, scenarzystą oraz operatorem filmowym. 7 listopada do kin w całym kraju wejdzie najnowszy film autorstwa artysty, zatytułowany „Dom dobry”, poświęcony problemowi przemocy domowej. W produkcji główne role zagraли Agata Turkot, absolwentka Szkoły Filmowej w Łodzi oraz Tomasz Schuchardt

Dariusz Pawłowski

Trudno zrozumieć, dlaczego pana nowy film, „Dom dobry”, nie okazał się dość dobry dla jurorów Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni, ale można pominąć tego tytułu w werdykcie potraktować symbolicznie, jako obraz pana relacji z tak zwanym środowiskiem. Czy postawa artysty osobnego, stojącego nieco obok rozmaitych rozgrywek i działań promocyjnych, to wybór czy konieczność?

Startuję w indywidualnej dyscyplinie i nie wiem, jak postępują inni reżyserzy. Ja robię swoje, i tyle. I w taki sposób, jeżeli pan pozwoli, wolałbym zamknąć odpowiedź na to pytanie. Ale dziękuję za takie ustawienie mojej sytuacji, jakie zasugerował pan w pytaniu, bo jest mi ono bliskie.

Czy do takiej autonomiczności właśnie przygotowywano w Łódzkiej Szkole Filmowej, którą ukończył pan w 1990 roku, co warto podkreślić, na Wydziale Operatorskim? Do Szkoły Filmowej w Łodzi udało mi się dostać dopiero za trzecim razem, na wspomniany Wydział Operatorski. Ja chyba wtedy kombinowałem w ten sposób, że na operatorskim było dziesięć miejsc, a na reżyserii tylko osiem, no to łatwiej się było dostać na operatorski, prawda? Dobrze, trochę żartuję, rzecz jasna... Po pierwszym roku już wiedziałem, że się nie nadaję na operatora, bo w tej materii trzeba podążać za technologią i operator musi czekać na tekst, na to, czy wybierze go

reżyser. A mnie już zaczęło interesować samodzielne robienie filmów. Na trzecim roku napisałem scenariusz „Małżowiny”, tworzyliśmy też wtedy z Łukaszem Kośmickim scenariusz „Domu złego” – on jeszcze wtedy wyglądał zupełnie inaczej niż to, co potem oglądaliśmy na ekranie. To wszystko sprawiło, że wiedziałem już, że chcę robić filmy jako reżyser. To była długa droga, ale w końcu się udało.

Czy wiedza zdobyta na Wydziale Operatorskim pomogła w pracy reżysera?

Zaraz po skończeniu Szkoły Filmowej mówiłem, że dała mi ona dwie rzeczy: możliwość oglądania filmów w kinie, bo oglądałem nierzadko po dwa-trzy filmy dziennie oraz kort tenisowy, którego teraz w Szkole już nie ma. Jednak z perspektywy czasu wiem, że ta uczelnia dała mi więcej. Przede wszystkim mogłem się kontaktować z ludźmi, którzy podobnie jak ja postrzegają świat. A z wykładów, które początkowo mi gdzieś uciekły, pozostało dużo rozmów o znaczeniach, a na nich mi w kinie zależy najbardziej.

W okresie studiów spędził pan w Łodzi sześć lat. Jak postrzegał pan wtedy nasze miasto?

Trudno było zostać jego fanem. Mieszkałem przy ulicy Piotrkowskiej, przy Parku Słedzia, na Dąbrowie i na ulicy Radwańskiej. Lata spędzone w Łodzi spowodowały, że jestem zawodowo w tym miejscu, w którym jestem. Chodzi

nie tylko o Szkołę Filmową, ale jeszcze bardziej o ludzi, z którymi spotkałem się i w uczelni, i w kinie Cytryna, czy w Siódmkach. Oni mieli tak samo narąbane w głowie jak ja i podobnie jak ja postrzegali świat. Później, nawet jak bywałem w Łodzi, to pracowałem, nie miałem możliwości przyglądania się miastu. Dopiero niedawno, odsłaniając swoją gwiazdę w Łódzkiej Alei Gwiazd na Piotrkowskiej, mogłem dostrzec, jak bardzo od tamtego czasu Łódź się zmieniła.

Już pana pierwszy kinowy film, „Wesele” z 2004 roku, wywołał wiele emocji, a kolejny, „Dom zły” z roku 2009, ustanowił pana pozycję jednego z najważniejszych i najsilniej oddziałujących współczesnych polskich reżyserów. Powiedział pan jednak przed chwilą, że ten scenariusz powstał jeszcze na studiach. Co go zainspirowało?

Z Łukaszem Kośmickim znaleźliśmy artykuł, chyba w piśmie „Detektyw”, opisujący historię rodziców, którzy przez pomyłkę zabili własne dziecko. Ja jeszcze nie wiedziałem o sztuce „Niespodzianka” Karola Huberta Rostworowskiego, ale jak kręciłem „Małżowinę”, to nasz scenariusz przeczytał Marcin Świetlicki i wskazał nam właśnie na ten dramat z okresu międzywojennego. Udałem się do biblioteki i zobaczyłem, że rzeczywiście, ten element historii opisanej w gazecie pochodzi z „Niespodzianki”. Ale uwaga, kiedy byłem z „Domem złym”

w Łowiczu, okazało się, że chyba w 1880 roku niejaki Tarczyński napisał tę samą historię jeszcze przed Rostworowskim. Nie wiem więc komu tak naprawdę ten pomysł ukradliśmy. Próbowaliśmy też odnaleźć autora tekstu w „Detektywie”, ale nie udało się. I ów mord dokonany przez rodziców przez pomyłkę na własnym dziecku był punktem wyjścia scenariusza, nie mieliśmy jeszcze wątku współczesnego. Potem długo nad tym tekstem pracowaliśmy, wiele zmienialiśmy, jednocześnie pisaliśmy scenariusz do filmu „Sezon na leszcza”, który zrealizował Bogusław Linda. W pewnym momencie do „Domu złego” dodałem sekwencje rozgrywane się w okresie wczesnego Jaruzelskiego. Miałem dużo czasu, żeby nad tym tekstem myśleć, a moją szkołą reżyserską było pierwsze „Wesele”.

Czego się pan wtedy nauczył?

Pisałem scenariusz, bardzo się starałem, zrobiłem to najlepiej, jak potrafiłem, ale wtedy jeszcze nie wiedziałem, że praca nie zastąpi talentu. Producenti też nie do końca wiedzieli, czy ten tekst jest dobry, czy nie. Zaaranżowali spotkanie z Kazimierzem Kutzem, który był wtedy w Sejmie. Kutz podszedł do stolika, przy którym siedzieliśmy, powiedział o scenariuszu: „Świetny, kręćcie”. I poszedł. Wiedzieliśmy więc, że mamy niezły tekst, ale kiedy weszliśmy w zdjęcia, okazało się, że połowę kwestii, które ja tak wypracowałem, aktorzy mogą

po prostu zagrać, zamiast je wypowiadać. Później w montażu jeszcze część kwestii powyrzucaliśmy. Na początku odebrałem to tak, że jestem mało zdolny, zanim zrozumiałem, że film to robota zbiorowa. Że trzeba się otaczać ludźmi, którzy podobnie postrzegają świat i czerpać od nich. Chodzi przede wszystkim o aktorów, bo to są moje – przepraszam za słowo – narzędzia, ale też o najbliższą ekipę. I teraz, gdy to już rozumiałem, to wiem, że bardzo lubię idąc na plan, przygotowując scenę, nie wiedzieć wszystkiego. To znaczy, muszę wiedzieć, do czego zmierza historia, o czym opowiadam, jaki będzie koniec i ostatnie ujęcie. Natomiast jeżeli będę wiedział z góry wszystko, to może już powinienem przestać robić filmy. Na razie zderzam się z aktorami i każdy z nich coś dokłada do mojej historii. Czasem jest tak, że nie zgadzam się i robię po swojemu, a czasem, kiedy nie wiem, to robię proponowany wariant. I sprawdzam, co lepiej pasuje. Nagadałem się teraz... A wszystko zamyka się w tym, co już powiedziałem, że film jest robotą zbiorową.

Czy to oznacza, że każdy kolejny film robi się łatwiej, czy też to, co zrobiło się wcześniej, nie ma znaczenia przy nowym projekcie?

Za każdym razem jest inaczej. Wynika to z tematu, ale ja też się zmieniam. Na przykład ten film o miłości z małym minusem, czyli „Dom dobry”, troszkę odchorowałem. Żeby jednak było jasne – lubię robić to, co robię.

Dlaczego pan odchorował?

Robiłem już takie bardzo brutalne sceny w kinie, tylko że one były umiejscowione w czasie przeszłym, w historii. To była jakaś klamra, prawda? A teraz zrobiłem historię o tym, co się dzieje tu i teraz, za ścianą. I to było dla mnie zaskakująco bolesne, nawet, jeżeli wiedziałem, że to będzie ciężkie kino. Zacząłem od wyboru do głównej roli Agaty Turkot, z którą pracowałem przy drugim „Weselu”, z żydowską literką w tytule. Ona grała wtedy w drugim planie, ale ja wiedziałem, że chcę z nią zrobić kolejny film. I kiedy zastała mnie pandemia, zawieszony byłem pomiędzy „Weselem” z żydowską literką w tytule i „Słowianami”, których jeszcze nie zrobiłem, ale wierzę, że zrobię. W tym zawieszeniu pomyślałem sobie, że trzeba zrobić kameralne kino, którego akcja toczy się w czterech ścianach. Pojawiło się też wtedy dużo artykułów o domowej przemocy, bo ona się w pandemii nasiliła. Zacząłem czytać artykuły i książki na ten temat, spotykałem się z ofiarami prze-

mocy. Doszło w końcu do tak zwanych zdjęć próbnych i nie zapraszałem już innych aktorów niż Agata Turkot. Otczyłem ją jednak kilkunastoma, moim zdaniem, świetnymi aktorami. Nie sprawdzałem, czy oni potrafią grać, przyglądałem się innym kwestiom. Po pierwsze, jak różna byłaby relacja na ekranie, gdyby partner był starszy, młodszy, mniej lub bardziej przystojny. Drugą sprawą było, który z aktorów dawał Agacie największe poczucie bezpieczeństwa. To też było dla mnie nowe w mojej pracy. Później, na planie, ograniczyliśmy ekipę, komunikację radiową, światło. Operatorką kamery była Ola Kamińska, najbliższej aktorów. Ja nie mnożyłem dubli, miałem w nosie, czy coś jest ostre, czy nie. Mam doświadczenie, wiem, że coś mogę wyciąć, zmontować. Próbowaliśmy zapewnić komfort aktorom, co w tym filmie było trudne. Zobaczycie na ekranie.

W jaki sposób reagowaliście na trudne sceny?

Patrzyłem w buty. Ujęcie, stop kamera i patrzyłem w buty. Nie tylko ja, bo cała ekipa też patrzyła w buty. Wszyscy byliśmy emocjonalnie bardzo związani z aktorami, bo tak naprawdę, ich to kosztowało najwięcej.

To jest ciężar, który się zabiera z planu?

No tak, ale za chwilę będę przed panem płakał albo się użalał. Lubie robić to, co robię. Wiedziałem, w co się pakuję. Czytałem na ten temat, spotykałem się z osobami, które zostały dotknięte przemocą, wysłuchałem ich historii. To było coś innego niż czytanie, kiedy patrzyłem w oczy tych ludzi i widziałem ich emocje. I wtedy wiedziałem, że ja muszę zrobić ten film.

To były osoby, które wyszły z przemocy?

Były w trakcie wychodzenia albo już wyszły z przemocy.

Czy tak mocno dotykając realizmu, trochę jak dziennikarze i robiąc takie filmy, wierzy pan jeszcze w człowieka?

Ojej, wierzę w to, że film jednak może coś zmienić, bo inaczej bym nie wyciągał kamery z auta. I czasem nie chodzi o to, że film musi być dobry. Bywa, że temat jest tak istotny, tak pokazany, że ktoś poczuje potrzebę chociażby porozmawiania z samym sobą. Oczekuję od kina poruszenia i emocji. I takie filmy chciałbym robić. Wydaje mi się, że czasem mi się to udaje.

Czy już odbyte projekcje „Domu dobrego” pokazały panu, że widz może się w tym filmie przeżyć?

Nie chcę uogólniać. Ale po projekcjach filmu na



FOT. KRZYSZTOF SZYMCAK

Wojciech Smarzowski na ulicy Piotrkowskiej w Łodzi, podczas odsłaniania gwiazdy artysty w Łódzkiej Alei Gwiazd

festiwalu Gdyni, gdzie wiadomo, wszystko się dzieje w przeciagu i ludzie się mijają, podeszło do mnie w sumie z dziesięć kobiet i opowiedziało swoje historie: kopnął mnie, kiedy byłam w szóstym miesiącu ciąży, rozstałam się z nim w walce. To znaczy, że ten film u tych osób nie tylko jakoś zarezonował, ale nie mogły być one przeciwko niemu, bo by do mnie nie podchodziły. Dostałem szybką bombę emocjonalną, ale to oznacza, że dobrze, że ten film powstał.

Czy w trakcie realizacji „Domu dobrego” miał pan gotowe sceny, które uznał za zbyt mocne i które nie weszły do filmu? Bo mogły być dla widza za bardzo szokujące?
Do pewnego stopnia to się zdarzało, choć może nie chodziło o to, że to były zbyt szokujące sceny. Moja metoda realizacji polega na tym, że ja robię sceny w jednym dublu po to, żeby aktorzy wywalili emocje raz, a nie pięć razy. Wtedy ten jeden dubel jest dłuższy i potem na stole montażowym decydujemy, które fragmenty wchodzi, a które nie, by zachować płynność całości. Tylko ja miałem tę świadomość wcześniej, nie jest tak, że wpadłem na to w montażowni. Taką obrałem zasadę, tak się dogadałem z aktorami, że oni wywalą bebecchy raz, może dwa, ale nie będziemy powtarzać tego kilkanaście razy.

Jak się pracuje z młodą ekipą? Czy na planie panuje większa otwartość na pańskie sugestie, czy to raczej pan czerpie coś od młodych ludzi?
Chyba nie widzę różnicy w pracy z młodszą czy starszą ekipą, pod warunkiem że wszyscy profesjonalnie podchodzą do swoich zadań. Ja generalnie jednak w dużej mierze pracuję z ludźmi, z którymi pracowałem już wcześniej, część z nich miała może trochę inne funkcje. Znamy się więc od jakiegoś czasu, dużo ze sobą rozmawiamy. Nie oznacza to, że mamy się poklepywać po plecach, tylko po prostu sobie ufamy. Jeszcze raz podkreślę, film jest sprawą zbiorową. Jedyną zmianę jaką widzę, to ten nieciekawy fakt, że ja jestem starszy. Od młodych ludzi biorę energię, ich percepcję, postrzeganie świata. To jest dla mnie bardzo ważne, w tym zakresie zachowuję czujność. A czy ja coś im daję? Może jakieś doświadczenie, także własny punkt widzenia, przekonanie, że warto się trzymać własnej drogi. Uczciwie się ze sobą dzielimy.

Spotkał się pan z opiniami, że przemocy w pana filmach jest za dużo, że stawia pan widza pod ścianą, że pewne rzeczy powinny zostać niedopowiedziane?
Tak, ale nie można zrobić filmu dla wszystkich. Ja mam taki, a nie inny temperament filmowy, moją bazą jest realizm. Obejrzałem filmy o prze-

mocy, na przykład „Żonę policjanta”, gdzie tak naprawdę jest tylko jedna scena przemocowa i jest to świetny film. Ale ja uznałem, że to trzeba opowiedzieć na mój sposób. To dobrze, że są w kinie różne historie, różnie opowiadane filmy, widzów też mamy bardzo różnych. Każdy przepuszcza opowiadaną mu historię przez własną wrażliwość i albo w nią wchodzi, albo się odcina.

Wspomniał pan o projekcie „Słowianie”. Ma to być najdroższy film w historii polskiej kinematografii. Na jakim etapie jest ten projekt?
Szukania pieniędzy i konsultowania tekstu z historykami. Tak naprawdę nie wiadomo, gdzie był chrzest Mieszka. Czy w Gnieźnie, czy w Ostrowie Lednickim, czy w Poznaniu. Zadaję historykom bardzo praktyczne pytania. Gdzie stał warsztat tkacki, jak zbudowano most w Ostrowie Lednickim. Moją bazą jest realizm, więc muszę ten świat najbardziej wiarygodnie pokazać. Muszę wiedzieć na przykład co robili z mieczami, kiedy wchodził do sali, gdzie było bardzo ciasno. Zakładam, że nosili miecz jak dziś krawat. Ale co się działo z tarczami, co z hełmami, gdzie była zbrojownia? Zastanawiamy się nad stanem uzębienia naszych bohaterów. Większość aktorów ma teraz szuflady tureckie, a wtedy już chyba Wikingowie śmiali się, że nie jest u nas za dobrze z zębami.

Czy jest łatwiej ze znajdowaniem funduszy, niż to było na przykład w przypadku „Wołynia”?
To jest pytanie do producentów, nie do mnie, bo ja nie jestem od funduszy. Ja się zajmuję przedstawianiem świata. A producent Wojtek Gostomczyk zajmuje się szukaniem pieniędzy. I to wszystko jest w trakcie.

Powiedział pan, że jako reżyser robi swoje. Czy to oznacza też, że krytyka w ogóle pana nie dotyka?
Po pierwszym filmie, „Weselu”, przeczytałem „Gazetę Wyborczą” i dostaliśmy tam konkretną zjebkę od dziennikarzy, których znałem. I pomyślałem sobie: po co ja mam to czytać? Jeżeli kończę film, to każdy element znam „po imieniu”. Ale jak już oddaję film widzom, to się nie cofam, nie patrzę wstecz. Nie mam mediów społecznościowych i nie czytam o sobie. Oczywiście, nie uda się nic nie wiedzieć, nie słyszeć, co ludzie mówią, ponieważ się spotykamy, rozmawiamy, każdy coś tam powie. Tylko że ja próbuję sobie to bardzo dozować.

„Słowianie”, wiadomo, duży projekt, pewnie jeszcze sporo czasu upłynie, zanim będzie go można zrobić...
O, tak.

Ale czy nosi pan w kieszeni jeszcze jakieś inne tematy? Myślę o kameralnym filmie o miłości. Akcja dzieje się

w domu starców. I jest to opowieść o eutanazji po polsku.

W jakim zakresie, pana zdaniem, zmieniliśmy się na przestrzeni lat od „Domu złego” do „Domu dobrego”? Mocniej: Jak zmieniła się Polska? Czy nowy film jest też odpowiedzią na tę zmianę?
O Polsce nie chcę mówić tak szeroko, na pewno natomiast ewoluowało samo pojęcie przemocy domowej. W „Domu złym” mamy zagadkę kryminalną w epoce późnego Gierka i wczesnego Jaruzelskiego. Jest tam scena, w której Dziabas uderzył swoją żonę i nikt wtedy, kiedy ten film powstał, nie mówił, że to jest jakaś przemoc. Po prostu facet napił się, był zazdrosny i uderzył. A wiadomo z kontekstu, że nie pierwszy raz ją uderzył. W jakichkolwiek opiniach na temat tamtego filmu problem przemocy domowej w tym kontekście w ogóle nie był poruszany. Natomiast teraz już jest tak, że byśmy o tym mówili. To się mocno zmieniło. Jak mnie, na przykład, nauczycielka w podstawówce lała linijką czy wyzywała od debili, to jej chodziło o to, żebym ja się lepiej uczył, to były środki wychowawcze. Wiedziałem też, gdzie pasek był w domu. Ale kto by wtedy odważył się nazywać to przemocą...

A czy dla takiego twórcy, jak pan, istnieje jakieś tabu? Jest temat, którego by pan nie dotknął?

Nie wiem, co szczerze na to odpowiedzieć. Moja rzeczywistość wygląda tak, że mam w szufladzie parę projektów, dotyczących różnych trudnych tematów. Ale powstawanie filmu zajmuje dużo czasu, dlatego, że ja piszę scenariusz i z nim znajdują się pieniądze, zanim nakręcimy zdjęcia i dojdzie do postprodukcji, to mijają trzy-cztery lata. Powiedziałem już o dwóch projektach – kameralnym i wielkiej produkcji. Ale nie wiem, jakim człowiekiem będę za rok, dwa, trzy, jaki temat mnie wtedy zainteresuje, co zainspiruje do napisania kolejnego tekstu, co będzie się działo w Polsce i na świecie.

Może będziemy znowu kręcić filmy powojenne...
Oby nie.

Myślał pan chociaż raz o tym, żeby tak przewrotnie zrobić w kinie coś lekkiego?
Zawsze od tego wychodzę. Zawsze próbuję zrobić miły film o miłości, kameralny, a potem kamera pędzi nad miastem, są setki statystów, no i ktoś wyłączy światło.

Pisze pan swoje filmy mocnym charakterem pisma, sam tworzy scenariusze, wyjątkiem była „Róża”, zrealizowana według scenariusza Michała Szczębnica. Czy dziś mógłby pan podjąć cudzy pomysł, pracować nad scenariuszem nie własnego autorstwa?
Myślę o tym, dlatego że pisanie zajmuje mi dużo czasu, zwłaszcza jeżeli dotykam tematu, o którym mało wiem i muszę zrobić dokumentację. Jedyńm filmem, który mnie nic nie kosztował pod względem scenariusza, była „Drogowka”. Jeździłem autem, robiłem program o policji, napisałem to bardzo szybko. Ale jeżeli wchodzi w jakąś historyczną sytuację, to opracowanie wszystkich składników jest czasochłonne. Wracając do pytania, nie wiem, ile przede mną lipców jeszcze, ale myślę, że mógłbym skrócić ten proces biorąc gotowy tekst, w którym bym pewnie coś jeszcze poprzestawiał lub podokładał. I nawet chyba zacząłem już o tym rozmawiać z różnymi ludźmi.

I teraz ma pan swoją gwiazdę na ulicy Piotrkowskiej w Łodzi? Jakie z tym wiążą się emocje?
To super, że stało się to w Łodzi, to jest oczywiście miłe. Aczkolwiek to taki etap, że za chwilę pojawiają się napisy: w życiu na Ziemi udział wzięli... Jest w tym wymiar podsumowywania. Przyjechałem na uroczystość do Łodzi, której nie poznaję, otrzymałem wiele fantastycznych bodźców. To jest naprawdę fajny moment w życiu. Najwzruszajniej w świecie się cieszę.

Laznaczył przy tym, że mimo zaawansowanego wieku, aktorka do końca tryskała niegasnącą energią i zaangażowaniem. - Nawet mając 96 lat nie utraciła pasji do swojej pracy i kontaktu z publicznością. - Będzie jej niezmiernie brakowało. Zarówno najbliższemu, jak i jej wiernym fanom na całym świecie - napisano w komunikacie.

To była jej rola życia

Patricia Routledge zadebiutowała na Broadwayu w 1966 roku. I mimo że miała na koncie dość sporo teatralnych oraz telewizyjnych ról, to największą sławę zyskała dzięki serialowi „Co ludzie powiedzą?”. Był to cykl, który jak żadna inna brytyjska produkcja ukazuje w krzywym zwierciadle mieszczański sposób życia angielskiej klasy średniej, obnażając w wyjątkowy sposób przywary i obśmieszając pompatyczność jej przedstawicieli. A wszystko to podane w otoczce inteligentnego humoru, który, mimo że kręci się głównie wokół brytyjskiego klimatu i zachowań, spodobał się na całym świecie. Nic zatem dziwnego, że serial „Co ludzie powiedzą?” pokochali także polscy widzowie.

- Rezydencja państwa Bukietów, przy telefonie pani domu - to wymawiane często zdanie przez bohaterkę serialu, niejaką Hiacyntę Bukiet (w oryginale: Bucket, ale o tym później) mówi o niej wszystko. Mimo, że potrafi podnosić słuchawkę z wytworną galanterią, którą zresztą prezentuje przy każdej możliwej okazji, to w rzeczywistości jest zwykłą snobką oraz pochodzącą z niższej klasy szarą obywatelką, zaś jej głównym celem jest imponowanie innym swoim wyrafinowaniem i udawanym bogactwem, kontaktami, znajomościami itp. Bezbronnymi „ofiarami” jej nadmuchanej osobowości stają się członkowie najbliższej rodziny, wliczając w to trzy siostry oraz męża Ryszarda, któremu nie pomaga fakt, że jest totalnym pantoflarzem, bez szermowania spełniającym coraz to bardziej wymyślne - żeby nie powiedzieć: szalone pomysły swojej żony.

- Ryszardzie, uważaj na cię żarówkę! / Przecież stoi na parkingu! / Wtedy jest najbardziej niebezpieczna - ten dialog Hiacynty i Ryszarda dowodzi, że despotyczna małżonka, która nie ma pojęcia o prowadzeniu samochodu, uważa, że jest dokładnie na odwrót i uznaje za stosowne, by przekazać mężowi „cenne” wskazówki. Sytuacja z autem ma swoje odzwierciedlenie w każdej dziedzinie życia pani Bucket. To ona „najlepiej” gotuje, to ona ma „najlepszy” serwis do herbaty, to ona „najlepiej” przygotowuje parafialny piknik, to ona śpiewa „najlepiej”, to w niej wreszcie „kochają się” (tak na-



FOT. MATERIAŁ PRASOWE

Patricia Routledge, posiadająca niesamowity talent komediowy, w serialu „Co ludzie powiedzą?” wspięła się na wyżyny swoich umiejętności aktorskich

PATRICIA ROUTLEDGE DZIELIŁA ŻYCIE NA PRZED HIACYNTĄ I PO NIEJ

- Z głębokim smutkiem potwierdzamy śmierć Patricii Routledge, która odeszła dziś rano, spokojnie we śnie, otoczona miłością – przekazał w miniony piątek w swoim oświadczeniu agent niezapomnianej pani Bukiet

Wojciech Obremski

prawdę szczerze jej nienawidzący) sąsiad Emmet. Zaś jego siostra Elżbieta w rzeczywistości panicznie boi się swojej sąsiadki, przeżywając prawdziwe katusze podczas proszonych herbatek u Hiacynty; nerwy Elżbiety są już zszargane do tego stopnia, że nie potrafi utrzymać filiżanki bez rozlewania napoju.

Wieloklasowa rodzinka

Wszyscy w okolicy, począwszy na sąsiadach, poprzez mleczarza i listonosza, na wikarym i jego małżonkę kończąc, starają się unikać domostwa Hiacynty jak ognia. Nie zawsze im się to udaje, gdyż pani Bucket nie przepuści żadnej okazji, by opowiedzieć o kolejnym sukcesie jej syna Sheridana, zamoż-

nej willi jej siostry, z sauną i stajnią dla kucyka czy walecznych czynach jej tatusia, których ten miał dokonywać podczas wojny. Hiacynta nawet nie przyjmuje do wiadomości, że syn zmienił zarówno kierunek studiów (na hafciarstwo), jak i orientację płciową, bogata siostra Violetta „od kucyka” trwa w toksycznym związku z męż-

czyną, który ma dość dziwne skłonności seksualne, zaś ojciec to podstarzały człowiek, zmagający się z demencją, która w dość znaczący sposób wpływa na jego libido. Jeśli czymś Hiacynta nie chce się pochwalić przed otoczeniem, to są to dwie pozostałe siostry (Róża i Stokrotka) oraz mąż tej drugiej Powolniak, mieszkający w warunkach urągających nawet najniższej z klas i posiadający dość, nazwijmy to, luźny stosunek do życia, co za nic nie może być kojarzone z „idealnie skrojonym”, choć wyimaginowanym statusem Hiacynty. Dla bohaterki jest rzeczą niedopuszczalną, że rozwiązała Róża zmienia partnerów jak rękawiczki (jednym z nich był Polak, z „trudnym do wymówienia nazwiskiem, kończącym się na -ski”), zaś Stokrotka może wytrzymać ze swoim mężem, obleśnym obdartusem, popijającym całe dnie piwo przed telewizorem, który uruchomi się wyłącznie po uderzeniu w odbiornik (wprawne oko zauważy, że Powolniak nie jest do końca tym, za którego uważa go Hiacynta, a i pośrednio widzowie - podczas scen w sypialni można dostrzec, że czyta on książki poświęcone fizyce lub notowaniom giełdowym).

Wyżyny aktorstwa pani Routledge

Popularność serialu, którego premiera odbyła się w 1990 roku, tłumaczył jego scenarzysta Roy Clarke. - Wszyscy znają kogoś takiego jak Hiacynta. Może być członkiem naszej rodziny lub mieszkać na końcu ulicy - zauważał. Pierwszy sezon serialu sprzedano 992 stacjom, a ogólnie powstało pięć serii, składających się z czterdziestu odcinków, nie licząc pięciu specjalnych. W 2004 roku serial zajął drugie miejsce w światowym rankingu ulubionych komedii BBC, zaś odtwarzająca główną rolę Patricia Routledge została odznaczona przez królową Elżbietę II Orderem Imperium Brytyjskiego, dwukrotnie nominowano ją też do nagrody BAFTA.

I chyba większość, oglądając Hiacyntę w akcji przyzna, że słusznie, bo wcielając się w nią Patricia Routledge, posiadająca niesamowity talent komediowy, wspięła się na wyżyny swoich umiejętności aktorskich. Scenariusz również był sprawnie napisany, toteż nic dziwnego, że od razu przypadł jej do gustu. - Zaczęłam czytać po pierwszej w nocy i skończyło się na tym, że czytałam do czwartej nad ranem, rechocząc przy tym nieustannie - mówiła w programie „The one show”. Jednak aktorka często podkreślała, że oprócz dwóch rąk, dwóch nóg, dwojga oczu, nosa i ust, nic więcej nie łączy jej ze swoją bohaterką. - Moje życie to etap przed Hiacyntą i po niej. Jeśli ludzie będą mnie

pamiętać tylko jako Hiacyntę, to nic na to nie poradzę. Ale jeśli dzięki temu ludzie chodzą do teatru by mnie oglądać, to mogę być szczęśliwa. Nie chciałbym być Hiacyntą na zawsze. Ale to nie znaczy, że nie jestem wdzięczna za tę postać - twierdziła P. Routledge w jednym z wywiadów. Serial przerwano w 1995 roku, właśnie ze względu na rezygnację aktorki z głównej roli (jeden z odcinków specjalnych - „Wspomnienia Hiacynty”, będący kompilacją najzabawniejszych scen serialu przypomnianych przez Powolniaka i Stokrotkę, nakręcono dwa lata po zakończeniu cyklu, bez udziału P. Routledge, nie licząc scen retrospektywnych). Choć sama aktorka nigdy nie podała powodu odejścia, zmarły w 2019 roku Clive Swift, wcielający się w jej męża Ryszarda, przyznał w rozmowie z BBC, że jego filmowa partnerka nie chciała do końca życia być panią Bucket. I chyba coś było na rzeczy, gdyż aktorka poświęciła się potem innym projektom, na czele z serialem kryminalnym „Śledztwa Hetty Wainthropp”, w którym grała panią detektyw. Routledge wcieliła się również w telewizyjne role prawdziwych postaci, w tym pisarki Barbary Pym oraz św. Hildegardy z Bingen.

„Nazywam się Bouquet, nie Bucket!”

Wróćmy jednak do nazwiska głównej bohaterki „Co ludzie powiedzą?”. W wersji oryginalnej „Bucket” oznacza wiadro. Dlatego właśnie Hiacynta wciąż (bezsukcesnie) upiera się, by wymawiać jej nazwisko w sposób bardziej wysublimowany: „Bouquet”, co z francuskiego oznacza „bukiet”, dzięki czemu można by nazywać ją Hyacinth Bouquet, czyli „Bukietem hiacyntów”. W niektórych polskich tłumaczeniach postacię przeinaczały nazwisko bohaterki na: „Żakiet”. Serialowa Hiacynta nie potrafi śpiewać, a gdy próbuje, okropnie fałszuje. W rzeczywistości P. Routledge uczyła się w młodości śpiewu, zaś w 1968 roku otrzymała nawet nagrodę Tony za musicalowe role.

Aktorka odeszła zapewne z poczuciem satysfakcji, że dzięki niej „Co ludzie powiedzą?” to, jak zauważył portal Naeckranie.pl, „z jednej strony wysmienita zabawa, z drugiej celna satyra społeczna. Jak się okazuje, komentarz wciąż jest aktualny i nie dotyczy jedynie brytyjskich przedstawicieli klasy średniej i wyższej. Doskonała odtrutka na snobizm, nadąsanie i podwójną moralność tych, którzy dzięki swojej pozycji społecznej dowartościowują się kosztem innych.”

Serialowa Hiacynta była tylko jedna, choć każdy z nas zna podobne. Nadzwyczaj trafnie uświadomiła nam to nieśrównana Patricia Routledge.

POLSKA i ŚWIAT

KRÓTKO

WARSZAWA

Minister finansów: W 2026 roku zegnamy drożynę i stagnację

- Budżet na 2026 rok jest planem wzmocnienia polskiej gospodarki; wraz z nim zegnamy drożynę i stagnację - przekazał w czwartek w Sejmie minister finansów i gospodarki Andrzej Domański, który przedstawił projekt ustawy budżetowej na 2026 rok. Podkreślił, że projekt budżetu przewiduje inwestycje w innowacyjność, cyfryzację i konkurencyjność Polski.
- W bieżącym i kolejnym roku spodziewane jest wy-

rażne ożywienie gospodarcze. Polskie PKB w ujęciu realnym w latach 2025 i 2026 wzrośnie odpowiednio o 3,4 proc. i 3,5 proc. To plasuje polską gospodarkę znacznie powyżej prognoz dla strefy euro - powiedział minister.
Wydatki budżetu państwa w przyszłym roku wyniosą 918,9 mld zł, przy dochodach w wysokości 647,2 mld zł. Deficyt ma nie przekroczyć zatem poziomu 271,7 mld zł.
Oprac. Anna Nagel | PAP

RZYM

Otwarto sekretny tunel cesarski



FOT. PAP/EPA/ANSA/MASSIMO PERCASSI

W podziemiach Koloseum po raz pierwszy otwarto dla zwiedzających tzw. Przejście Kommodusa - cesarza rzymskiego, syna Marka Aureliusza. Od pierwszego wieku n.e. sekretny tunel był używany przez cesarzy, którzy przechodzili nim do przeznaczonych dla nich honorowych miejsc na widowni. | PAP

WARSZAWA

Polacy przyznają, że alkoholizm jest w naszym kraju problemem

86,8 proc. badanych uważa, że alkoholizm jest w Polsce poważnym problemem społecznym, a 64 proc. zna osobę w swoim otoczeniu, która ma realny problem z alkoholem - wynika z sondażu UCE Research dla Onetu.
Większość Polaków spotyka się z sytuacją, w której

ktoś sięga po alkohol nie z powodu chęci, lecz dlatego, że „tak wypada”. To aż 74,1 proc. pytanych. Najczęściej z powodu okazji, jak święta, urodziny czy imieniny (24,5 proc.).
Według 61,9 proc. badanych alkohol w Polsce jest zbyt łatwo dostępny.
Oprac. Anna Nagel | PAP

WASZYNGTON

- Nikt w historii nie zakończył tylu wojen, co ja, ale pewnie znajdą jakiś powód, by nie przyznać mi Pokojowej Nagrody Nobla - oświadczył prezydent USA Donald Trump. W piątek zostanie ogłoszony tegoroczny laureat tego wyróżnienia. Jego kandydaturę do otrzymania nagrody poparli m.in. przywódcy Armenii, Azerbejdżanu, Demokratycznej Republiki Konga, Izraela, Kambodży i Rwandy. | PAP

„

Nikt w historii nie zakończył tylu wojen, co ja, ale pewnie znajdą jakiś powód, by nie przyznać mi Pokojowej Nagrody Nobla

Donald Trump prezydent USA

Polski urzędnik szpiegował dla rosyjskiego wywiadu?

Marcin Koziestański
Warszawa

Do Sądu Okręgowego w Warszawie skierowany został akt oskarżenia przeciw Tomaszowi L., oskarżonemu o szpiegostwo oraz przekroczenie uprawnień funkcjonariusza publicznego.

Informację przekazał Jacek Dobrzyński, rzecznik koordynatora służb specjalnych. Prokuratura zarzuca Tomaszowi L. udział w działalności rosyjskiego wywiadu.

Dobrzyński przekazał w czwartek na platformie X, że akt oskarżenia jest wynikiem długotrwałego i wielowątkowego postępowania prowadzonego przez funkcjonariuszy Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego pod nadzorem Prokuratury Krajowej.

Sprawa dotyczy pracownika Urzędu Stanu Cywilnego w Warszawie, zatrzymanego przez funkcjonariuszy ABW 17 marca 2022 r. - wynika z szerszej informacji opublikowanej na stronie Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Po tym zatrzymaniu prokuratura, na podstawie materiałów ABW, wszczęła śledztwo, a sąd zastosował wobec niego środek zapobiegawczy w postaci tym-



FOT. KRZYSZTOF KAPICA

Sprawa dotyczy pracownika Urzędu Stanu Cywilnego w Warszawie, zatrzymanego przez ABW 17 marca 2022 r.

czasowego aresztowania, który był przedłużany.

ABW przekazała, że 11 września 2025 r. prokurator z Mazowieckiego Wydziału Zamiejscowego Departamentu do Spraw Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej skierował do Sądu Okręgowego w Warszawie akt oskarżenia przeciw Tomaszowi L. Śledczy zarzucili mężczyźnie branie udziału, w okresie od 2017 r. do dnia 17 marca 2022 r., w działalności rosyjskiego wywiadu cywilnego oraz przekazywanie temu wywiadowi informacji, które mogły wyrządzić szkodę Rzeczypospolitej Polskiej.

„W wyniku długotrwałego i wielowątkowego postępowania przygotowawczego prowadzonego przez ABW pod nadzorem ww. Prokuratury, zebrano obszerny materiał dowodowy, z którego wynika, że Tomasz L., będąc pracownikiem Wydziału Archiwalnego Ksiąg Stanu Cywilnego Urzędu m.st. Warszawy i posiadając dostęp do jego zbiorów oraz systemów, pozyskiwał służbowo dokumentację i materiały, które przekazywał rosyjskiej służbie wywiadowczej” - wyjaśniono w komunikacie.

Prokuratura Krajowa poinformowała w czwartek, że z materiału dowodowego wy-

nika, że Tomasz L. miał kopiować na prywatne nośniki i fotografować telefonem służbowe dokumenty, w tym akty stanu cywilnego obywateli polskich i cudzoziemców, korespondencję z placówkami dyplomatycznymi, urzędowe szablony, wytyczne i inne dane.

„Uzyskiwane dane i dokumenty umożliwiały m.in. wykonanie przez obce służby dokumentacji legalizacyjnej dla budowania tożsamości tzw. nielegalów. (...) Dane te przekazywał następnie ustalonymu oficerowi wywiadu za pomocą zakamuflowanej łączności radiowej. Wcześniej został w tym zakresie przeszkolony przez rosyjskie służby” - podała PK.

Po zatrzymaniu na wniosek prokuratury sąd zastosował wobec Tomasza L. środek zapobiegawczy w postaci tymczasowego aresztowania, który następnie był przedłużany, w tym ostatnio przez Sąd Apelacyjny w Warszawie na kolejnych 6 miesięcy, tj. do 25 marca 2026 r.

Tomasz L. nie przyznał się do zarzucanego mu czynu. Na początkowym etapie śledztwa złożył wyjaśnienia. Podczas następnych przesłuchań korzystał z prawa do odmowy składania wyjaśnień - przekazał śledczy w komunikacie.
PAP

Polscy obywatele z flotyli Sumud wrócili do kraju. Poseł KO ma pretensje do Radosława Sikorskiego

Oprac. Anna Nagel
Warszawa

Polscy uczestnicy flotyli humanitarnej do Strefy Gazy - Omar Faris, Nina Ptak, Franciszek Sterczewski i brytyjska dziennikarka polskiego pochodzenia Ewa Jasiewicz są już w Polsce.

Polacy znajdowali się w grupie ponad 470 osób z 47 państw biorących udział w Globalnej Flotyli Sumud (GSF). Morski

konwój humanitarny został przechwycony w ubiegłym tygodniu w nocy ze środy do czwartku na wodach międzynarodowych przez izraelską marynarkę wojenną. Przejęto 42 statki, a ich załogi sprowadzono do Izraela, zatrzymano i deportowano.

Po przylocie na warszawskie lotnisko Chopina przewodniczący polskiej delegacji Omar Faris powiedział, że wszyscy muszą być razem przeciwko ludobójczej wojnie w Strefie Gazy. Re-

lacionował też, że uczestnicy flotyli byli traktowani „w sposób absolutnie brutalny”.

- Przez kilka godzin, ja mam 73 lata, wiązali moje ręce do tyłu i na kamienie wsadzili - mówił Faris na briefingu prasowym.

Sterczewski pytał, dlaczego w czasie, kiedy uczestnicy flotyli robili wszystko, żeby zakończyć to ludobójstwo, zwrócić uwagę świata na to, co tam się dzieje, minister Sikorski bagatelizował sytuację. Jak zaznaczył, nie oczekuje od Sikor-

skiego dymisji, a „natychmiastowej zmiany polityki rządu polskiego”.

Rzecznik MSZ Maciej Węwiór proszony o komentarz w sprawie zarzutów aktywistów zapewnił, że resort chroni interesy Polski i jej obywateli, korzystając z narzędzi dyplomacji.

„Dobrze, że dzięki tym działaniom trójka naszych obywateli jest już wolna i mogła wrócić do kraju” - napisał w przesłanym do PAP komentarzu.
PAP

DROBNE

Nieruchomości

INNE

NIERUCHOMOŚCI okazynie sprzedam, Glinki 884-884-819

Finanse biznes

KREDYTY, POŻYCZKI

KREDYT bez zdolności 781026832

Praca

ZATRUDNIĘ

DO zbioru owoców i warzyw przyjmę - Wtelno, tel. 663 247 006

OCHRONA z gr. niepełnosprawności Bydgoszcz tel. 604 630 556

SERWIS sprzątający z gr. niepełnosprawności Bydgoszcz tel. 604 630 556

ZATRUDNIĘ murarzy, dekarzy i na wykończenie wnętrz tel.606432661

Zatrudnię pracownika gospodarczego - umowa zlecenie. Osowa Góra-tel. 604136606.

ZATRUDNIMY drogowców oraz budowlanców do pracy w Niemczech. Tel. 506 820 639, 691 170 156, 00 49 171 687 66 95

Zdrowie

LABORATORIA

DR n.med. Maciej Świtoński- chirurg choroby jelita grubego, choroba hemoroidalna, 602298213, 60-229-82-13, 602-298-213, Bydgoszcz

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

ZDUN 508-918-006

INSTALACYJNE

E Elektroawaria 24h 79355537 instalacje pomiary, ekspres, tanio!

MONTAŻOWE

NAPRAWA okien drzwi tel. 602720927

ROLETY ATRAKCYJNE CENY. Producent „GARDA” tel. 52/372-04-04

PORZĄDKOWE

DIWANY, tapicerki, okna. Czyszczenie "Kärcher" 697-628-925

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Besкиды koło Wadowic - tradycyjne turnusy Świąteczne, tel.: 501-642-492.

Różne

BAPTYŚCI, Adentyści, Świadkowie = FAŁSZYWE DROGI; tel. 506980305

KASA za stare książki 609-643-399

Rolnicze

MASZYNY ROLNICZE

KUPIĘ ciągnik, przyczepy, maszyny rolne. Tel. 535135507.

REKLAMA

0011407828



Zielń Miejska

Zakład Pogrzebowy

UL. CZARTORYSKIEGO 13

☎ 24h / 7 - 52 324 99 99

WŁASNE KREMATORIUM

REKLAMA

0011396030

Firma SPRZEDA

lokal użytkowy w Bydgoszczy (udział w nieruchomości).

znajdujący się na szóstym piętrze budynku usługowo-biurowego (budynek Sanitasu). Biurowiec położony tuż przy dworcu PKP.

Tel. 510 026 836

0011414202

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że dnia 9 października 2025 r. zmarła

śtp

Krystyna Piszcz

lat 87

Pogrzeb wraz z mszą św. odbędzie się 15 października 2025 r. (środa) o godzinie 12.00 (różaniec 11.30) na cmentarzu Nowofarnym przy ul. Artyleryjskiej w Bydgoszczy.

Rodzina

0011414023

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że w dniu 7.10.2025 r. zmarł w wieku 79 lat

śp.

Józef Pryłowski

Ceremonia pogrzebowa zostanie odprawiona w dniu 13.10.2025 r. (poniedziałek) o godz.12:15 w kaplicy na Cmentarzu Komunalnym w Bydgoszczy, ul. Wiślana 22.

O czym zawiadamia pogrążona w smutku

Rodzina

0011414124

„Nie umiera ten, kto pozostaje w sercach bliskich”

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że dnia 8 października 2025 r. zmarła nasza kochana Mama, Teściowa, Babcia, Prababcia i Siostra

śtp

Maria Mroczkowska

lat 93

Pogrzeb, poprzedzony modlitwą różańcową, odbędzie się w sobotę 11 października 2025 r. o godz. 13.00 na cmentarzu przy ul. Wiślanej 22 w Bydgoszczy.

Pogrążona w smutku

Rodzina

0011407689

„Nie umiera ten, kto pozostaje w sercach bliskich”

Z żalem zawiadamiamy, że bezpowrotnie odeszła Nasza Mama, Siostra i Babcia, a także ceniona i oddana swojej pracy i ludziom bydgoska farmaceutka

śtp

Teresa Więcko

lat 91

Uroczystości pogrzebowe odbędą się w środę 15.10.2025 roku o godz. 12.00 na cmentarzu parafialnym przy al. Wyszyńskiego (Bielawki) w Bydgoszczy.

Pogrążona w smutku

Rodzina

0011413586

„Ci, których kochamy, nie umierają nigdy, bo miłość to nieśmiertelność”

Z wielkim żalem zawiadamiamy, że w dniu 6 października 2025 r. odszedł od nas kochany Mąż, najukochańszy Tatuś, Teść, najlepszy Dziadek i Pradziadek

śtp

dr n. med. Józef Sadkiewicz

lat 96

Ceremonia pogrzebowa z mszą św. poprzedzona modlitwą różańcową odbędzie się w piątek 17 października 2025 r. o godz. 11.30 na cmentarzu parafialnym Najświętszego Serca Pana Jezusa przy ul. Ludwikowo w Bydgoszczy.

Pogrążona w smutku

Rodzina

0011413720

Z sercem pełnym bólu i smutku zawiadamiamy, że dnia 1.10.2025 r. zasnął w Bogu ukochany Syn i Tata

śp

Leszek Mrugalski

lat 46

Msza św. pogrzebowa zostanie odprawiona w sobotę, 11.10.2025 r. o godz. 12:30 w kościele pw. Św. Świętego Krzyża w Bydgoszczy. Modlitwa różańcowa rozpocznie się o godz. 12:00. Pogrzeb odbędzie się po Mszy św. na cmentarzu Nowofarnym przy ulicy Artyleryjskiej 10 w Bydgoszczy.

W żalu pogrążeni

Rodzice i Córka

0011412643

„Nie odchodzi ten, kto pozostaje w sercach bliskich”

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że w dniu 7 października 2025 r. odszedł od nas Nasz Kochany Mąż, Tata, Teść i Dziadek

śtp

Eryk Gliszczyński

lat 84

Ceremonia pogrzebowa odprawiona zostanie w dniu 13 października 2025 r. (poniedziałek) o godzinie 14.00 na cmentarzu parafialnym Najświętszego Serca Pana Jezusa przy ul. Rynkowskiej w Bydgoszczy.

Pogrążona w smutku

Rodzina

0011412803

Z ogromnym żalem i smutkiem żegnamy

Leszka Siekierskiego

Wieloletniego Dyrektora V Liceum Ogólnokształcącego w Bydgoszczy. Człowieka odpowiedzialnego, życzliwego i oddanego swojej pracy. Jego zaangażowanie i postawa pozostaną w pamięci i sercach wielu pokoleń młodzieży oraz współpracowników.

Rodzinie i Bliskim

składamy głębokie wyrazy współczucia

Nauczyciele i Pracownicy V Liceum Ogólnokształcącego im. I. J. Paderewskiego w Bydgoszczy

Owoce z jesienno-ogrodu

Liczne właściwości prozdrowotne wykazują również jesienne owoce. Jabłka zmniejszają ryzyko wystąpienia chorób sercowo-naczyniowych, cukrzycy typu drugiego oraz niektórych nowotworów, a zawarte w nich pektyny działają niczym naturalny prebiotyk: poprawiają perystaltykę jelit, regulują pracę układu trawiennego i dbają o dobrą mikroflorę. Bogate w polifenole śliwki mają właściwości przeciwutleniające, przeciwnowotworowe, antymutagenne, przeciwcukrzycowe oraz przeciwzapalne. Gruszki z kolei korzystnie wpływają na pracę jelit, pomagają w walce z nadciśnieniem i mogą korzystnie wpływać na funkcjonowanie tarczycy.

FOT.: GETTIMAGES



Warzywa kapustne są doskonałym źródłem węglowodanów, w tym błonnika pokarmowego

DBAJ
o zdrowie

Odporność z natury

► Sprawdź, jakie jesienne warzywa warto włączyć do swojego jadłospisu

Lena Szuster

Spadek energii, przemęczenie, podatność na infekcje - to typowe objawy jesienno-przesilenia.

W walce z nimi efektowna może się okazać dobrze zbilansowana dieta, bazująca na sezonowych warzywach. To najlepszy sposób na naturalne podniesienie odporności.

Jesienią na stragany i sklepowe półki trafia całe mnóstwo zdrowych warzyw - od barwnej dyni i jej krewnych, poprzez mieniące się wszyst-

kimi kolorami zieleni warzywa kapustne, a na wytrawnych w smaku warzywach korzeniowych kończąc.

DYNIA, CZYLI SYMBOL JESIENI

Nie ma chyba warzywa bardziej kojarzącego się z jesienią. Dynia trafiła do Europy z Ameryki. Jest niskokaloryczna i lekkostrawna. Znajdziemy w niej m.in.: witaminę A, beta-karoten, potas, wapń, magnez oraz fosfor. Dzięki nim dynia poprawia odporność, dba o zdrowie oczu i skóry, działa przeciwstarzeniowo i pomaga chronić skórę przed szkodliwym skutkiem pro-

mieni UV. Świetnie nadaje się do zup kremów, sosów, naleśników oraz różnego rodzaju słodkich wypieków.

Bliską krewną dyni jest cukinia - kolejne lekkostrawne warzywo, którego nie powinno zabraknąć w waszej jesiennej diecie. Szczególnie poleca się ją osobom na diecie i walczącym z nadkwasotą, wpływa bowiem korzystnie na przemianę materii, oczyszcza i detoksykuje organizm.

SIŁA WARZYW KAPUSTNYCH I KORZENIOWYCH

Do typowo jesiennych warzyw zaliczamy też warzywa kapustne, czyli: różnego

rodzaju kapusty, brukselkę, jarmuż, kalafior, kalarepę. Choć niepozorne, są doskonałym źródłem węglowodanów, w tym błonnika pokarmowego, praktycznie za to nie zawierają tłuszczu. Poza witaminami i minerałami są również bogate w metabolity wtórne - glukozynolany, sulfotlenek S-metylocysteiny, biologicznie czynne związki barwne kumaryny, enzymy antyoksydacyjne oraz terpeny. To właśnie metabolity wtórne odpowiadają za specyficzny zapach i gorzki smak warzyw kapustnych. Mają przy tym właściwości grzybobójcze, bakterio-

niciobójcze, wirusobójcze i przeciwutleniające. Odgrywają także rolę w profilaktyce chorób nowotworowych.

Równie cenne dla zdrowia mogą być jesienne warzywa korzeniowe: marchew, pasternak, pietruszka, seler, buraki, rzępa, cebula, czosnek, rzodkiew, koper włoski. To jedne z najbardziej odżywczych warzyw naszej szerokości geograficznej. Regularnie spożywane, pomagają m.in. obniżyć ciśnienie krwi i stężenie „złego” cholesterolu LDL w jej surowicy. Są przy tym bardzo aromatyczne, wszechstronne, świetne do wielu różnych przepisów oraz potraw.

REKLAMA 0011407216

REHABILITACJA

TERAPIA KRĘGOSŁUPA KOCIŃSKI

Leczenie schorzeń kręgosłupa i stawów
tel. 52 334 21 41, 601 985 300
www.kocinski-kręgosłup.pl

AUTOREKLAMA

strona zdrowia

Czytaj dla zdrowia
stronazdrowia.pl

AUTOPROMOCJA

009500638

Strefa Biznesu

**NAJWIĘKSZY
REGIONALIZOWANY
SERWIS GOSPODARCZY
W POLSCE**

- ✓ Sprawdzone informacje gospodarcze ze świata, z Polski i z Twojego regionu
- ✓ Porady dla małych i średnich przedsiębiorstw
- ✓ Baza komunikatów i przetargów



www.strefabiznesu.pl

AUTOPROMOCJA

0010660996



Zdrowie

REKLAMA: **Joanna Nagrodzka**

tel. **605 651 968** | joanna.nagrodzka@polskapress.pl

[illegible]

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 28 utworzą rozwiązanie – myśl Aleksandra Fredry.

ROZWIĄZANIE: MILCZENIE JEST SKARBEM POLITYKI.

Zwycięstwo w Kownie jest obowiązkowe

Bartosz Głęb
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Reprezentacja Polski w niedzielę zagra na wyjeździe z Litwą w szóstym meczu eliminacji MŚ 2026. Zdecydowanym faworytem rywalizacji są oczywiście Biało-Czerwoni.

Podopieczni Jana Urbana we wrześniu zaprezentowali się bardzo dobrze w wyjazdowej rywalizacji przeciwko Oranje oraz

w pojedynku na Stadionie Śląskim z Finlandią. Remis i zwycięstwo przywróciły nadzieje na awans do przyszłorocznego turnieju, który zostanie rozegrany w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych i Meksyku.

Teraz chyba nikt sobie nie wyobraża, że Biało-Czerwoni stracą punkty w rywalizacji z zespołem, który plasuje się dopiero na 145. miejscu w rankingu FIFA. Trzeba jednak przypomnieć, że w marcowej inauguracji eliminacji MŚ 2026 zespół prowadzony

wówczas jeszcze przez Michała Probierza szczęśliwie wygrał na stadionie PGE Narodowy tylko 1:0 po голу Roberta Lewandowskiego w 81. minucie.

W Kownie spotkanie z pewnością do najłatwiejszych należeć nie będzie, ale trzeba sobie jasno powiedzieć. Jeśli Polacy będą mieli problemy w meczu wyjazdowym z Litwą, raczej nie mają czego szukać na przyszłorocznym mundialu w Ameryce Północnej. Muszą wygrać, by pozostać w grze o awans.

W kadrze Litwy na mecz z Polską nie ma żadnego zawodnika grającego w Polsce, ale są tacy, którzy w przeszłości grali w Ekstraklasie. Znalazł się w niej między innymi pomocnik Paulius Golubickas, który wiosną spędził na wypożyczeniu w Radomiaku Radom. Może zagrać też Fedor Černych, czyli w przeszłości gwiazdor Jagiellonii Białystok. Napastnik miał też epizod w Górniku Łęczna.

Po raz ostatni reprezentacja Polski zagrała w Kownie w mar-

cu 2011 roku. Wtedy Biało-Czerwoni przegrali w meczu towarzyskim 0:2. W podstawowym składzie na tamto spotkanie wyszedł grający wtedy jeszcze w Borussii Dortmund Robert Lewandowski, a w drugiej połowie na placu gry pojawił się reprezentujący wówczas barwy tureckiego Sivassporu Kamil Grosicki, zmieniając Adriana Mierzejewskiego.

Transmisję z meczu Litwa - Polska będzie można oglądać w niedzielę od godziny 20:45

na kanałach TVP 1 oraz TVP Sport. Stream w internecie z meczu eliminacji MŚ 2026 będzie można obejrzeć bez opłat na stronie sport.tvp.pl oraz w aplikacji TVP Sport.

Przypomnijmy, że w czwartek wieczorem odbyły się mecze grupy G Malta - Holandia i Finlandia - Litwa.

W grupie prowadzi Holandia (10 punktów) przed Polską (10) i Finlandią (7). Awans uzyska tylko zwycięzca grupy, a drugi zespół zagra w barażu. ©

Olimpia i Zawisza będą bronić pozycji lidera na trudnych wyjazdach

Dariusz Knopik
dariusz.knopik@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Przed nami kolejny ciekawie zapowiadający się weekend na futbolowych boiskach.

Zarówno w Betclie 2. Lidze, jak i Betclie 3. Lidze czas na 12. kolejkę. W tej pierwszej Olimpia Grudziądz zagra na wyjeździe z Wartą Poznań. To będzie hit tej serii gier. Biało-zieloni pojadą do stolicy Wielkopolski bronić pozycji lidera. Nad drugim Podhalem Nowy Targ mają trzy punkty przewagi. Podopieczni Artura Kosznickiego jedyną porażkę ponieśli właśnie z tym zespołem jeszcze w sierpniu. Warciarze po słabym początku zanotowali dziewięć meczów bez porażki i awansowali na piątą pozycję w tabeli. Tracą do Olimpii pięć „oczek”. To wszystko zapowiada duże emocje. Mecz w sobotę o godz. 12.

W podobnej sytuacji jak Olimpia jest Zawisza. Bydgoszczanie przewodzą trzeciolikowej stawce, ale nad drugą Cartusią mają tylko punkt przewagi, a nad Flotą Świnoujście, która jest ich najbliższym rywalem tych „oczek” jest trzy. Wyspiarze reklamują ten mecz jako spotkanie jesieni i mocno się na nie mobilizują. Flota jest aktualnie na czwartym miejscu w tabeli. Odniosła cztery zwycięstwa z rzędu, a ostatnim zespołem, który z nią wygrał była Elana Toruń. Zawiszanie chcą dalej kontynuować swoją passę, do której wrócili po ostatnim zwycięstwie nad Błękitnymi Stargard. Celem dalekiego wyjazdu jest obrona przodownictwa w tabeli Mecz Flota - Zawisza w sobotę o godz. 15.

O tej samej porze Elana podejmie Victorię Września. Torunianie są zdecydowanym faworytem w spotkaniu prze-

ciwko beniaminkowi. Wrześnianie zajmują przedostatnie miejsce w tabeli z dorobkiem sześciu punktów. Żółto-niebiescy nie przegrali meczu od końca sierpnia i aktualnie są na szóstym miejscu w tabeli. Trener Rafał Więckowski liczy na podtrzymanie tej passy.

Wda Świecie po prawie dwóch miesiącach wygrała u siebie i zaczyna się pięć w górę tabeli. W piątek o godz. 19 Świecie zagrają na wyjeździe z Polonią Środa Wielkopolska. Wdę czeka trudne zadanie, bo zagrają z zespołem, który notuje dobrą passę i awansował na trzecią pozycję w stawce. Nadzieję na korzystny wynik dają fakty, że ekipa ze Świecia lepiej spisuje się na wyjazdach niż u siebie.

Ciągle formy nie potrafią zawodnicy Tłuchowii. Po blamażu z Wikędem Luzino teraz tłuchowian czeka wyjazdowe spotkanie z rezerwami Pogoni Szczecin. Mecz w niedzielę o godz. 12.

- Po takim laniu nie mogliśmy przejść obojętnie i byli rozmowy - przyznał Arkadiusz Bator, trener Tłuchowii. - Powiedzieliśmy sobie wszystko o złych rzeczach, które się wydarzyły, ale teraz jest już pełne skupienie na najbliższym meczu. Pracujemy głównie, by odbudować naszą sferę mentalną. Mamy swoje problemy kadrowe i cierpimy na boisku. Nasza gra przypomina sinusoidę: razem jest lepiej, a raz gorzej - dodaje szkoleniowiec.

11. kolejka 4. Ligi Kujawsko-Pomorskiej - sobota: Victoria Czemikowo - Mustang Ostaszewo (11), Wisła Dobrzyń nad Wisłą - Orleńta Aleksandrów Kujawski (11), Unia Gniewkowo - Kujawiak Kowal (14), Cuiavia Inowrocław - Sparta Brodnica (15), GLKS Dobrcz - Start Pruszcz (15), Piast Kołodziejewo - Chermik Bydgoszcz (15), Unia Solec Kujawski - Łokietek Brześć Kujawski (15), Unia Wąbrzeźno - Noteć Łabiszyn (15), Pogon Mogilno - Lech Rypin (16). ©

REKLAMA

ALUPROF **selt**
by ALUPROF

PANUJ NAD KLIMATEM
PANUJ NAD KOSZTAMI

OKNA | DRZWI | FASADY | OSŁONY PRZECIWSŁONECZNE | PERGOLE

AMBASADOR
Szymon Marciniak

www.aluprof.com/dom

ALUPROF
GRAMY FAIR z NATURA

0011413365

SPORT

www.sportowy24.pl

Statkarki rozpoczęły
nowy sezon. Pałac i Sokół
mają swoje ambicje

Dariusz Knopik

dariusz.knopik@polskapress.pl

SIATKÓWKA. Awans do play off jest celem na pierwszą część sezonu Tauron Ligi dla zespołów z Bydgoszczy i Mogilna.

Sezon w elicie kobiet rozpoczął się w czwartek. Sokół & Hagric swój mecz zagra w sobotę o godz. 12.30 na wyjeździe z Chemikiem Police, a Metalkas Pałac Bydgoszcz w poniedziałek po godz. 17.30 podejmie Radomkę Radom.

Bydgoszczanki w poprzednim sezonie zajęły szóstą lokatę, co było odzwierciedleniem możliwości zespołu. W klubie postawiono na ciągłość pracy sztabu trenerskiego pod wodzą Martino Volpiniego. Wszyscy liczą, że będzie jeszcze lepiej niż w poprzednich rozgrywkach.

- Takim celem głównym jest zakwalifikowanie się do play offów a więc zajęcie miejsca w pierwszej ósemce po sezonie zasadniczym - deklaruje Piotr Makowski, prezes klubu. - Mam ciekawy zespół. Jest on oczywiście inny niż ten poprzedni. Cieszy mnie niezmiernie, że są w nim nasze wychowanki jak Pola Nowakowska, Monika Jagła czy Marta Pol, która do nas wróciła po wояażach w kraju. To wskazówka dla młodszych zawodniczek, które także są w składzie, że warto pracować i się rozwijać, a wtedy dostanie się szansę gry - dodaje szef Pałacu.

Prócz wymienionej trójki liderkami drużyny powinny być rozgrywająca Marta Łyczakowska i środkowa Dominika Witowska. Ciekawe jak po wyleczeniu

ciężkiej kontuzji zaprezentuje się Wiktoria Makarewicz. W składzie są też dwie zawodniczki zagraniczne: grecka przyjmująca Elana Baka i francuska atakująca Victoria Foucher.

Po debiutanckim sezonie zakończonym utrzymaniem apetyty wzrosły też w Mogilnie.

- Wtedy wszystko było dla nas nowe, a teraz jesteśmy mądrzejsi i tamte doświadczenia - podkreśla Agnieszka Laskowska, prezeska Sokola. - Chcemy zrobić kolejny krok i nie ukrywamy, że marzy się nam miejsce w ósemce i potem gra w play offach. Mam nadzieję, że zbudujemy zespół, który jest w stanie podołać temu wyzwaniu. Najważniejsze, żeby zawodniczkom dopisywało zdrowie - dodaje szefowa klubu.

W Sokole w przerwie między sezonami doszło do personalnej rewolucji. Z poprzedniej drużyny została atakująca Agnieszka Cur-Słomka, przyjmująca Sandra Świętoń, środkowa Paulina Brzosa i libero Karolina Pancewicz. Za rozgrywanie mają odpowiadać Hiszpanka Ariadna Priante i doświadczona Aleksandra Stachowicz. Ciekawe jak na przyjęciu zaprezentuje się Greczynka Marię Tsitsigianni? Będzie walczyła o miejsce w składzie z doświadczonymi Kingą Stronias i Emilią Pinczewską. Nowymi postaciami są też atakująca Wiktoria Kowalska oraz środkowe Aleksandra Cygan i Wiktoria Nowak, a także libero Natalia Pajdak.

Zespół ponownie poprowadzi Mateusz Grabda.

Zapowiada się co najmniej pół roku dużych emocji. ©©



W poprzednim sezonie Pałac i Sokół podzieliły się zwycięstwami w meczach derbowych

KOSZYKÓWKA

Maciej Lampe zaprasza na spotkanie w Cierpicach

W sobotę słynny koszykarz będzie gościem kibiców w Cierpicach pod Toruniem. Otwarte spotkanie zaplanowano w Centrum Rekreacji Olender od godz. 13.00. Lampe opowie o swojej drodze do NBA i największych klubów w Europie, celach i działalności swojej fundacji, turniejach Lampe 2x2 Challenge czy projekcie „Śledź Lampego”. Organizatorzy zapewniają, że koszykarz odpowie na każde pytanie zgromadzonych gości.



FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

TENI STOŁOWY

Dwa medale LUKS Chełmno

Podczas pierwszego turnieju Grand Prix Polski młodzików w Poznaniu na podium stanęli Jakub Pankowski i Anelia Jabłońska z LUKS Chełmno. W swoich kategoriach wiekowych zajęli 3. miejsca. (szcz)

KRÓTKO



FOT. AGNIESZKA BIEŁECKA

HOKEJ

Torunianie chcą kolejnych zwycięstw. Są dwie szanse

KH Energa zagra dziś na wyjeździe z niższej notowaną Cracovią, w niedzielę podejmie wicelidera z Sosnowca (17.00). Po niespodziewanych zwycięstwach w Karwinie z JKH GKS Jastrzębie i Oświęcimiu z Unią torunianie zajmują 5. miejsce, ale z niewielką stratą do czołówki (5 pkt do prowadzącej Unii). Dwa zwycięstwa w weekend mogą oznaczać spory awans w tabeli.

Dziś po raz pierwszy tak naprawdę drużyna zagra pod ręką Samiego Hirvonena. Fin obejrzał na żywo zwycięstwo w Oświęcimiu, a od poniedziałku sam prowadzi treningi w Toruniu i ma już swoje wnioski. - Mam pewne zalety, brakuje odpowiedniej gry obronnej i współpracy całej piątki. Rozpoczęcie pracy trenerskiej w środku sezonu z gotową drużyną to wyzwanie. Jest mało czasu, a decyzje trzeba podejmować szybko - mówi szkoleniowiec w rozmowie z klubowym portalem. (jp)

PIŁKA NOŻNA

Puchar dla torunianek

W rozegranym w Łabiszynie finale Pucharu Polski kobiet na szczelbu wojewódzki TAF II Toruń pokonał Victorię Niemcz/Osielsko 2:0 (bramki: Julia Olkiewicz i Anna Siwicka). Zwycięska ekipa odebrała puchar, nagrodę pieniężną (5 tys. zł) i voucher na zakup sprzętu sportowego (10 tys. zł). (szcz)

LOTTO

ŚRODA, 8.10

Multi Multi, godz. 22.00

3, 5, 6, 10, 14, 18, 21, 29, 30, 31, 38, 40, 41, 60, 61, 63, 65, 69, [78], 80

Kaskada, godz. 22.00

1, 3, 6, 7, 8, 9, 11, 14, 16, 18, 22, 24

Mini Lotto 2, 5, 12, 15, 17

Ekstra Pensja 2, 7, 9, 12, 16 - 4

Ekstra Premia 4, 20, 23, 30, 31 - 4

CZWARTEK, 9.10

Multi Multi, godz. 14.00

4, [8], 9, 15, 17, 20, 33, 35, 42, 43, 45, 47, 49, 59, 63, 67, 68, 72, 74, 78

Kaskada, godz. 14.00

2, 4, 6, 7, 9, 10, 13, 15, 16, 19, 22, 23

Dawniej wielkie gwiazdy,
teraz w roli naszych rywali

Kamil Łączyński to kawał historii Anwilu Włocławek, a Aaron Cel to jeden z symboli największych sukcesów Twardych Pierników

Joachim Przybył

joachim.przybyl@polskapress.pl

KOSZYKÓWKA. - To była pierwsza data, którą sprawdziłem w terminarzu - mówi Kamil Łączyński przed meczem z Anwilem. W niedzielę z koleżkibice w Toruniu spotkają się z Aaronem Celem.

To będzie wydarzenie 3. kolejki Orlen Basket Ligi. Kamil Łączyński to symbol i jeden z najważniejszych graczy w historii włocławskiej drużyny. W Hali Mistrzów spędził osiem lat, w tym czasie zdobył dwa mistrzostwa Polski, tytuł MVP finałów, brąz, Superpuchar Polski, triumfował z drużyną w FIBA Europe Cup oraz ENBL i został najlepszym asystentem w historii Anwilu.

- Myślę, że będzie wzruszenie. Spędziłem tam osiem wspaniałych lat, dobrze wspominałem wszystkich pracowników, kibiców. Dzisiaj reprezentuję barwy Ark i zrobię wszystko, abyśmy wygrali. Na pewno nie będziemy faworytem tego meczu, ale zrobimy wszystko co w naszej mocy, aby wygrać. To pierwsza data jaką sprawdziłem w terminarzu. Cieszę się na wizytę we Włocławku, ale profesjonalizm trzeba zachować, sentymenty odłożyć na bok - mówi rozgrywający.

Latem Kamil Łączyński zdecydował się na rozstanie. Trochę z przyczyn rodzinnych, trochę też był rozczarowany, że klub odlekał nieco rozmowy o kontr-

akcie. Teraz prowadzi wzmocnioną Arkę Gdynia. Łączyński ma bardzo udane ostatnie miesiące. W barwach reprezentacji rozegrał bardzo dobry Eurobasket, a na inaugurację Orlen Basket Ligi poprowadził Arkę do zwycięstwa ze Stalą Ostrów 90:83, notując na koncie 11 punktów i 8 asyst. Jego indywidualny pojedynek z Elvarem Fridrikssonem zapowiada się świetnie.

- Mieliliśmy odprawę taktyczną, znamy mocne i słabe strony zawodników Anwilu. To nie są nowi gracze, znamy ich dobrze z europejskich parkietów. Jesteśmy zdrowi i gotowi, aby powalczyć o zwycięstwo - zapowiada „Łączka”.

Dodajmy, że to nie jedyny eks-anwilowiec w składzie Arki. Zobaczymy tam także Jarosława Zyskowskiego, mistrza Polski z włocławską drużyną oraz Jakuba Garbacza.

Początek meczu w piątek o godz. 20.15.

Sentymentalna podróż także w Toruniu. W niedzielę o godz. 12.30 Arriva Lotto podejmie Legię Warszawa. Na parkiecie, a w zasadzie obok niego, spotka się dwóch przyjaciół z boiska, z którymi związane są największe sukcesy Twardych Pierników. Pod sufitem Areny Toruń wiszą pamiątkowe koszulki Aarona Cela i Bartosza Diduszki. Pierwszy siedem lat broił barw Twardych Pierników, a od roku realizuje się w roli dyrektora sportowego Legii, z którą świętował mistrzostwo już w premie-

rowym swoim sezonie. Diduszko aż dziewięć lat grał w toruńskim zespole, a teraz wdział garnitur i zaczyna karierę trenera, na razie od roli asystenta Srdjana Suboticia.

To nie jest łatwy początek sezonu dla torunian, którym los przydzielił bardzo mocnych rywali na start. W starciu z Kingiem Szczecin niewiele brakowało w końcówce do niespodzianki, choć to nie był najbardziej udany mecz Twardych Pierników.

- Mam sporo rzeczy do poprawy, ale najważniejsza jest ta agresja od pierwszych akcji. Przegraliśmy, ale pokazaliśmy potencjał i teraz myślimy już o Legii. Czas będzie działał na naszą korzyść, ten zespół jest w stanie powalczyć z każdym - przekonuje Damian Kulig.

Legia jest rywalem jeszcze mocniejszym. Na inaugurację sezonu mistrzowie Polski rozgromili wicemistrzów z Lublina 90:68. Mecz jeszcze z ławki obserwował Wojciech Tomaszewski, który latem przeniósł się z Torunia do Warszawy, ale wraca do sił po kontuzji.

W Ilidze Qemetica Noteć Inowrocław poszuka pierwszego zwycięstwa we własnej hali, w sobotę o 20.00 podejmie Basket Poznań. Lider z Bydgoszczy pauzuje w ten weekend.

Koszykarki Energi Toruń w niedzielę o 16.00 podejmą mistrzynię Polski VBW Gdynia, a Artego Bydgoszcz o tej samej porze zmierzy się w Lublinie z AZS UMCS. ©©



FOT. ARCHIWUM